Wpisano do kontroli prasodruków
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 11.04 1967

Dziś w numerze: Jak nas widzą, tak nas piszą... Nieborów Sęp Sybiru Czyżby prawdziwy mężczyzna? O kinie i filmach Zazdrość Wiersze Felietony Recenzje

odgłosy

WOJEWÓDZKA KOMISJA HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

15 (545)
14. IV. 1968 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

WACŁAW BILINSKI

Trzy grosze naiwnego

Dyskutujemy przez cały dzień, wieczorem zażywamy proszki nasenne, mimo to nie możemy długo zasnąć, a potem budzimy się — i od razu pytanie: jak to się mogło stać? Jakim wynikiem zamknąć rachunek strat? I czy ponieśliśmy tylko straty? A może jeszcze nie dostrzegamy ważniejszych od strat, ale nie tak oczywistych zysków?

Mamy skłonności do eufemizmów: ukuliśmy już nowy. Mówi się o „wypadkach marcowych", chociaż zdrowy rozsądek przeczy takiej chronologii. Wypadki nie rozgrywały się w marcu, one narastały co najmniej od ubiegłego lata. Ich uwarunkowania sięgają daleko w przeszłość. Więc jakże to tak —„wypadki marcowe"?

Ale przyjmijmy to umowne określenie i spróbujmy podumać nad niektórymi tylko aspektami „wypadków marcowych".

2.

Czy jeszcze kiedykolwiek znajdzie się w Polsce publicysta aż tak odważny, by napisać, że nasza młodzież jest apolityczna? Suma pobranych honorariów za tę ewidentną bzdurę, która przez całe lata „małej stabilizacji" jako temat „murowany" straszyła nas ze szpalt wszystkich chyba pism — suma tych honorariów winna być teraz — moim zdaniem — przekazana na jakiś szlachetny cel. Może na budowę domu starców dla wysłużonych publicystów?

Wszystko bowiem możemy przypisać naszej młodzieży — tylko nie apolityczność. Zapalczywość? Tak. Brak rozeznania? Tak. Ignorancję polityczną? Zaraz, zaraz: ale czy brak rozeznania politycznego dwudziestolatków obciąża dwudziestolatki? A może postawmy sprawy jasno: powiedzmy wprost, że to wina wychowawców — i to nie tylko wychowawców — profesjonałów, chociaż i oni niemało zawinili, ale wychowawców wszystkich profesji i wszystkich szczebli. Ignorancja polityczna winą młodzieży? W tym wypadku głosuję za brakiem dowodów winy.

3.

Rzecz znamienna: niemal wszystkie wiece studenckie zajmowały się problemem cenzury. Podejrzewam, że tysięczne rzesze młodzieży studenckiej nie miały nigdy praktycznej okazji, by na ten temat wyrobić sobie własne zdanie. Hasło było więc przejęte. By nie powiedzieć: podpowiedziane.

Po czym — jak np. na Politechnice Warszawskiej — w czasie strajku studenci sami powołali — w ramach komitetu strajkowego — własną komórkę cenzury: zmusiła ich do tego sytuacja polityczna, w której trzeba było odpowiadać za każde — i tak, często pochopne — sformułowanie. I oto znów cenzura — okazała się złem koniecznym. A więc, jak mawiał Boy

Tak to czasem biednych ludzi
Rzeczywistość ze snu budzi.

4.

Natomiast — jeśli się nie mylę — studenci nie zajmowali się w swych rezolucjach problemami przywilejów, nierówności, protekcjonizmu. Nie można mieć wątpliwości, że z tymi zjawiskami nawet w kręgu bezpośredniej swej obserwacji studenci stykali

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Gniewny między wojnami

PAMIĘCI ZBIGNIEWA UNIŁOWSKIEGO

I.

Zmarł na gruźlicę w wieku dwudziestu ośmiu lat, w Warszawie, dwunastego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

„Wiadomości Literackie" wydały specjalny numer ku jego pamięci — na pierwszej kolumnie „Dalsze dzieje Kamila Kuranta" inkrustowane serią sympatycznych zdjęć autora: z rodzicami, z żoną i synkiem, ze strzelbą w Brazylii; jedno mniej sympatyczne: na łożu śmierci, otyła zniekształcona twarz, święty obrazek w złożonych rękach. Na innych kolumnach kilkunastu najbardziej znanych krytyków i pisarzy, i nawet jeden poeta, roztkliwiało się nad młodym wiekiem zmarłego, jego wielkim talentem i przyszłością, której zagrodziła drogę śmierć.

Minęło właśnie trzydzieści lat. W trzydziestą rocznicę śmierci Zbigniewa Uniłowskiego — 12.XI.1967 — żadna gazeta, żadne czasopismo, ani jeden z żyjących przyjaciół pisarza, ślubujących mu na łamach „Wiadomości" pamięć — nie skwitował tej okazji najkrótszą choćby wzmianką. Zapomniał Dobrowolski i Iwaszkiewicz i Parandowski, który tak wzruszająco przemawiał nad Uniłowskiego grobem.

Ale może nie najważniejsza jest pamięć przyjaciół. Może ważniejsza byłaby pamięć wydawcy: nowa edycja Uniłowskiego? Ważniejsze — jak twierdzi doc. dr S. Sandler — aby o Uniłowskim pisali prace seminaryjne i magisterskie studenci polonistyki?

Warto przecież poznać pisarza, którego twórczość jest świadomym albo podświadomym źródłem inspiracji dla naszej młodej i gniewnej prozy — Nowakowskiego, Lebla i wielu innych, niewartych wspomnienia...

II.

Miał niebanalną, ciężką biografię typu: Jack London albo raczej: Maksym Gorki. Urodził się w Warszawie w 1909 roku; syn lumpenproletariackiego Powiśla i drobnomieszczańskiej rodziny. Matka zmarła na gruźlicę, ojciec popełnił

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Bywają okresy, kiedy nie sposób nadążyć za wydarzeniami. Wówczas nawet prasa codzienna ma trudności z zamieszczaniem najaktualniejszych depesz agencyjnych. A co ma powiedzieć komentator w tygodniku? Taki właśnie okres przeżywamy obecnie.

Rewelacyjne oświadczenie prez. Johnsona o „politycznej abdykacji" i częściowym wstrzymaniu bombardowań DRW, które nie znajduje pokrycia w praktyce, oświadczenie rządu w Hanoi o możliwości nawiązania rozmów ze Stanami Zjednoczonymi,

zabójstwo przywódcy amerykańskich Murzynów — dr M. L. Kinga, postanowienie o wprowadzeniu wojska do Waszyngtonu w obawie przed gniewem ludności kolorowej, a następnie gwałtowne demonstracje Murzynów w 46 miastach USA,

wybór prezydenta Republiki Czechosłowackiej i decyzja Komitetu Centralnego o zdymisjonowaniu rządu oraz upoważnienie O. Czernika do utworzenia nowego gabinetu,

odroczenie przez Radę Bezpieczeństwa debaty bliskowschodniej, nowe niebezpieczeństwo ataku Izraela na Jordanię i przygotowania do arabskiego szczytu,

wizyta premiera Kosygina w Iranie,

— oto niektóre z najważniejszych wydarzeń ostatnich dni. Czy można omówić choćby część z nich? Zatrzymajmy więc uwagę Czytelników przede wszystkim na Wietnamie.

We wspomnianym wyżej oświadczeniu rządu Demokratycznej Republiki Wietnamu wyrażona została „gotowość wyznaczenia swego przedstawiciela do kontaktowania się z przedstawicielem USA w celu ustalenia ze stroną amerykańską bezwarunkowego zaprzestania przez USA bombardowań i innych aktów wojennych przeciwko DRW, aby mogły się rozpocząć rozmowy".

Na tę deklarację Johnson odpowiedział słowami: „nawiążemy kontakt z przedstawicielami Północnego Wietnamu". W ten sposób otworzyły się możliwości do politycznego rozwiązania problemu, o ile oczywiście Waszyngton naprawdę takim rozstrzygnięciem jest zainteresowany. To zastrzeżenie jest niezbędne chociażby dlatego, że mimo zapewnień o wstrzymaniu ataków na główne, gęsto zaludnione rejony DRW — samoloty nadal dokonują nalotów na niektóre z wietnamskich miast.

Jak potoczą się dalej wypadki — zależy od Stanów Zjednoczonych: bezwzględnego położenia kresu bombardowaniom oraz ustosunkowania się do znanych propozycji rządu DRW i Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego.

Tym razem jednak — chyba po raz pierwszy od rozpoczęcia agresji amerykańskiej — zarysowuje się możliwość negocjacji. Dał temu wyraz także U Thant po rozmowie z Johnsonem, wskazując na Genewę jako miejsce ewentualnych rozmów. Przedtem jednak obie strony za pośrednictwem nieznanych dotychczas kanałów dyplomatycznych dokonają wymiany poglądów i informacji. Dopiero wówczas — gdyby kontakty te przyniosły pomyślne wyniki — mogłyby rozpocząć się właściwe rozmowy, które z pewnością nie będą łatwe, a więc i krótkotrwałe. Stany Zjednoczone, którym nie powiodło się na drodze militarnej, więcej to niż pewne, będą próbowały narzucić swoje warunki pokoju przy stole konferencyjnym. Nie ma na przykład żadnego wyraźnego dowodu na to, że administracja Johnsona zamierza wycofać swe wojska z Wietnamu, co przecież jest istotnym warunkiem przywrócenia pokoju. Stąd i przestrzec trzeba przed nadmiernym optymizmem. Nikt, kto rozsądny, nie może oczekiwać, że to naród wietnamski tak bohatersko stawiający czoła militarnej potędze USA — zgodzi się przegrać w rokowaniach.

Obietnica Johnsona częściowego wstrzymania bombardowań oraz oferta rządu DRW odbiły się poważnie na sytuacji wewnętrznej Stanów Zjednoczonych. Ubiegający się o nominację swej partii: Kennedy i McCarthy, którzy kampanię wyborczą rozpoczęli głównie pod hasłami krytyki wietnamskiej polityki Johnsona, znaleźli się w trudnym położeniu. Przygotowane wcześniej teksty przemówień powędrowały do koszy i gorączkowo teraz dokonują oni rewizji taktyki. Również potencjalny kandydat partii republikańskiej — Nixon jest zdezorientowany i wyczekuje na dalszy bieg wydarzeń. W licznych korespondencjach z USA sygnalizuje się natomiast częściowe odzyskiwanie pozycji przez Johnsona. Nawet w skłóconym do niedawna Kongresie słyszy się obecnie słowa uznania pod adresem prezydenta.

Wszystko to razem potwierdza przypuszczenia, którym daliśmy wyraz w ub. tygodniu, że oświadczenie o nieubieganiu się o nominację jest po prostu wielką grą Johnsona. Obawiając się sytuacji, w której jego rywale z partii demokratycznej głosiliby popularne w USA hasła zakończenia wojny wietnamskiej, podczas gdy on byłby wciąż obarczany jej prowadzeniem — podjął omawianą decyzję o pierwszym kroku deeskalacji działań. Jako że nie byłaby ona wiarygodna — sam Johnson powiedział kiedyś, iż wysuwał już ok. 30 rzekomo pokojowych inicjatyw (?) — tym razem udokumentował ją abdykacją. Liczy najprawdopodobniej na to, że zmieni swe postanowienie o niekandydowaniu pod „naciskiem" wyborców. Tak więc nie jest to z pewnością ostatnie słowo Johnsona.

I jeszcze kilkanaście słów o wydarzeniach w Czechosłowacji. Na pełniejsze oceny dokonujących się tam zmian jest jeszcze za wcześnie. Można jednak zauważyć, że zapoczątkowany przez KP Czechosłowacji proces odnowy ciągle jeszcze znajduje się w fazie zmian personalnych, które kolejno obejmują: urząd prezydenta, Prezydium KC i rząd. Stąd zalecenie plenum KC dla ministrów — komunistów, aby podali się do dymisji oraz rekomendowanie O. Czernika na szefa nowego rządu.

Po tym etapie, zgodnie z zapowiedzią A. Dubczeka, nastąpić ma etap zmian programowych, które dotyczyć będą struktury państwowej (chodzi o wprowadzenie systemu federalnego), określenia roli partii w państwie oraz zmian w systemie zarządzania przedsiębiorstwami przemysłowymi.

M. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ **Zabójstwo pastora Martina Luthera Kinga, 41-letniego przywódcy ruchu murzyńskiego w USA, głównego eksponenta walki o prawa murzyńskie w Stanach Zjednoczonych metodami pokojowymi, zdobywcy pokojowej nagrody Nobla w 1964 roku — dokonane przez białego rasistę, odbiło się szerokim echem zarówno w Stanach Zjednoczonych jak w całym świecie. W wielu miastach Stanów Zjednoczonych doszło do gwałtownych wystąpień ludności murzyńskiej. W stolicy — Waszyngtonie — prezydent Johnson ogłosił stan wyjątkowy.**

■ „Sinhua": „Mao Tse-tung powiedział, że celem tworzonych prowincjonalnych komitetów rewolucyjnych jest położenie kresu walkom i tarciom frakcyjnym, które podkopują autorytet jedynego przywództwa. Nowe komitety składają się z żołnierzy, czerwonogwardzistów oraz członków partii i rządu, lojalnych wobec przywództwa. Ostoją dyktatury proletariatu pozostaje nadal armia chińska."

■ Agencja AFP komentując decyzję Johnsona o częściowym wstrzymaniu bombardowań DRW, pisze: „Decyzja częściowego wstrzymania bombardowań Wietnamu Północnego oznacza znaczny krok naprzód w kierunku rozpoczęcia rokowań, nie zaspokaja jednak w pełni warunków stawianych przez DRW. Lotnictwo amerykańskie dokonywać będzie bowiem w dalszym ciągu nalotów na część terytorium DRW na północ od strefy zdemilitaryzowanej". Dodajmy, że po owym oświadczeniu prezydenta Stanów Zjednoczonych piraci powietrzni USA bombardowali miejscowości oddalone o 335 km od strefy zdemilitaryzowanej.

■ **Premier DRW Pham Van Dong udzielił wywiadu korespondentowi „Monde'u" w Hanoi: „Stoimy wobec dwóch problemów — powiedział premier — najpierw chodzi o polityczne uregulowanie problemu wietnamskiego, na podstawie naszych dobrze znanych 4 punktów oraz — w odniesieniu do Południa — na podstawie programu politycznego Narodowego Frontu Wyzwolenia, który uzyskał poparcie światowej opinii publicznej; zasadniczo należy powrócić do porozumień genewskich z 1954 roku. Drugi problem dotyczy sposobu nawiązania rozmów. W tej sprawie nasze stanowisko jest także dobrze znane. Niestety, przywódcy Stanów Zjednoczonych nadal trzymają się „formuły z San Antonio", która jest zdezaktualizowana. W zasadzie powinni oni wiedzieć, że będziemy bardzo poważni w toku tych rokowań, tak samo, jak to czynimy na polu bitwy."**

■ Wychodzący w Hongkongu dziennik chiński pisze: „Chiny zbudowały system zdalnego sterowania, dzięki któremu można zmienić kurs pocisku balistycznego, wypuszczonego przez nieprzyjaciela i skierować go do miejsca, z którego wyszedł. Jest to olbrzymie zwycięstwo niezwyciężonej myśli Mao Tse-tunga."

■ **W Jerozolimie zakończyła się konferencja przemysłowców żydowskich z Izraela i innych krajów świata, postanowieniem utworzenia nowego towarzystwa inwestycyjnego o kapitale około 100 mln. dolarów, z czego 80 proc. pochodziłoby od żydowskich kapitalistów z całego świata. Celem konferencji było rozważenie i podjęcie kroków dla umocnienia gospodarki Izraela, która stworzyłaby warunki do dalszej imigracji.**

■ Prokuratura Generalna Czechosłowackiej Republiki rozpoczęła prace nad badaniem okoliczności związanych ze śmiercią byłego ministra spraw zagranicznych CSRS — Jana Masarika. Badanie tej sprawy podjęto w związku z opublikowaniem otwartego listu na łamach pisma „Student", którego autor naświetla niektóre wydarzenia wokół śmierci Masarika i wysuwa hipotezę, że mógł zostać on zamordowany.

■ Doradca finansowy szefa sztabu armii izraelskiej w wywiadzie dla tygodnika wojskowego „Bamachane" stwierdza, że „żołnierz izraelski nawet kiedy śpi, kosztuje 50 tys. dolarów na godzinę". Pułkownik Hafetz doszedł do tego wniosku podzieliwszy wydatki budżetowe przewidziane na rok 1969, przez liczbę żołnierzy.

■ W kairskim piśmie „Al Ahram" ukazał się artykuł ujawniający nowe szczegóły sytuacji w ZRA bezpośrednio po ustaniu działań wojennych w czerwcu ubiegłego roku. 11 czerwca prezydent Naser skontaktował się z gen. Fawzim w celu poruczenia mu dowództwa sił zbrojnych i dokonania niezbędnych zmian, nie wiedząc — pisze dziennik — że znalazł się na terenie, który był politycznie podminowany. Tej nocy — kontynuuje pismo — Naser po raz pierwszy od wielu lat wyciągnął pistolet i położył go przy swoim łóżku. Całą noc czekałem, czy coś nie nastąpi — przytacza pismo słowa prezydenta.

■ **W korespondencji z Pekinu Agencja DPA podaje, że ChRL tylko w tym wypadku uważać będzie za możliwe rokowania w konflikcie wietnamskim, jeśli — niezależnie od sprawy bezwarunkowego zakończenia bombardowania Północnego Wietnamu — wojska amerykańskie opuszczą Południowy Wietnam.**

■ Jak podaje radio Hawana, w pierwszym etapie „rewolucyjnej ofensywy na rzecz usuwania ostatnich śladów kapitalizmu" upaństwowiono na Kubie, do piątku ubiegłego tygodnia 55 tys. prywatnych zakładów. Ofensywa rewolucyjna — kontynuuje rozgłośnia — będzie rozwijać się naprzód w imię rewolucji socjalistycznej.

■ Rząd kubański zakazał organizowania popularnych na Kubie walk kogutów.

■ Stołeczna organizacja Norweskiej Partii Pracy, uchodząca za najbardziej autorytatywną organizację socjaldemokratyczną, uchwaliła olbrzymią większością głosów rezolucję, domagającą się wystąpienia Norwegii z NATO.

■ Korespondent Reutera informuje z Hawany, że Związek Młodzieży Komunistycznej na Kubie zakazał na niektórych wydziałach uniwersytetu w Hawanie noszenia długich włosów i bród. Są doniesienia — pisze korespondent — że na ulicach rewolucyjna młodzież strzyże nożyczkami długowłosych młodzieńców. Zakazuje się także noszenia wąskich spodni i mini-spódniczek.

■ Gaullistowski tygodnik „Notre Republique" zamieścił artykuł wstępny wysuwający ewentualność przeprowadzenia we Francji referendum w sprawie wystąpienia z sojuszu atlantyckiego w roku 1969.

■ Na zakończenie obrad Plenum KC KPCz podjęło rezolucję o aktualnej sytuacji politycznej. Komitet Centralny i jego organa wykonawcze wybrane na obecnym Plenum KC KPCz — głosi rezolucja — konsekwentnie kroczyć będą drogą demokracji socjalistycznej. Zamierzają one rozwijać szeroką działalność polityczną i prowadzić konkretną pracę nad wprowadzeniem w życie programu działania. Podstawowy i zasadniczy kierunek obecnej działalności politycznej ma za punkt wyjściowy dążenie do oczyszczenia socjalizmu od dotychczasowej deformacji, budowanie socjalizmu w CSRS w taki sposób, jaki odpowiada warunkom i tradycjom kraju.

■ **Radzieckie pismo „Sowietskaja Rosija" w artykule na temat specyfiki narodowej i ogólnych prawidłowości budowy socjalizmu, pisze: „W ostatnich latach wystąpiły poważne rozbieżności w poglądach szeregu partii na zasadnicze problemy walki rewolucyjnej. Fakty wykazują, że w poszczególnych ogniwach ruchu komunistycznego wystąpiły niebezpieczne tendencje nacjonalistyczne. Są partie, które zaczęły kłaść główny nacisk nie na jedność, lecz na niezależność w partii. Są i takie, które zaczęły ignorować wybitną rolę KPZR na arenie międzynarodowej, nie doceniać roli Rewolucji Październikowej, leninizmu i doświadczeń nagromadzonych przez partię, która utorowała drogę do przeobrażeń cechujących naszą epokę. Podobne fakty i zjawiska osłabiają siłę ciosów wymierzanych imperializmowi i są brzemienne w bardzo poważne następstwa.**

(„Guardian")

Bez komentarzy

8 marca, w dniu Święta Kobiet i pierwszych demonstracji ulicznych w stolicy, przemówiłem na zebraniu pisarzy łódzkich. Ustosunkowałem się między innymi do „wywiadu", jakiego udzielił redaktorowi „Neue Züricher Zeitung" nasz były kolega Stanisław Wygodzki, uskarżając się na rzekome „prześladowania" skierowane przeciwko jego osobie z racji żydowskiego pochodzenia.

Oburzony do głębi kłamliwą i oszczerczą treścią wzmiankowanego „wywiadu", oświadczyłem w imię prawdy, że od chwili powrotu ze Związku Radzieckiego (w maju 1946 roku) cieszyłem się i cieszę niezmiennym poparciem ze strony władz kulturalnych, a podczas dość licznych spotkań autorskich nigdy nie narażony byłem na jakąkolwiek przykrość, afront lub choćby dwuznaczny przytyk, zawierający aluzję do mego pochodzenia. Wprost przeciwnie: słuchacze rekrutujący się z młodzieży robotniczej bądź studenckiej, czy też spośród czytelników bibliotek publicznych zawsze i wszędzie darzyli mnie niekłamaną życzliwością i sympatią.

W dwa tygodnie po tym oświadczeniu otrzymałem od „dwóch inteligentów" podły anonim, odsądzający mnie od czci i wiary za „haniebne zachowanie na ostatnim zebraniu literatów łódzkich", Sapienti sat!

Ponieważ w ostatnim czasie mnożą się w pismach, pośmiduchach i gadzinówkach zachodnich nikczemne kalumnie, posądzające naród, do którego należę od niepamiętnych lat, o współudział w zbrodni hitlerowskiego ludobójstwa, stwierdzam w imię prawdy — bez względu na to, czy się to spodoba „dwom inteligentom", czy też nie — że siostrę moją, szwagra i siostrzeńca ukrywał przeszło dwa lata w specjalnie na ten cel urządzonym bunkrze nauczyciel gimnazjum kołomyjskiego Dębski. Nie wiem, czy zacny pedagog przypłacił życiem to bohaterstwo godne prawdziwego człowieka i Polaka. Mego ciotecznego brata Leona Łukaczera uratowała od niechybnej śmierci i ukrywała do dnia Wyzwolenia zamieszkała we Włochach pod Warszawą robotnica, córka chłopa — Kazimiera Krzyszkowiec. Natomiast kuzynowi mojemu Arturowi Safrinowi udzieliła schronienia w swoim mieszkaniu szlachetna pani Zakrzewska, ułatwiając mu jednocześnie fabrykowanie papierów „aryjskich", dzięki którym garstka Żydów stanisławowskich wydostała się z getta i ocaliła życie.

Oto rzeczowa, zwięzła relacja dotycząca j e d n e j tylko, najbliższej mi rodziny. Podaję ją bez komentarzy.

HORACY SAFRIN

Trzy grosze naiwnego

Dalszy ciąg ze str. 1

się niemal co dzień, co więcej: przywilej wąskiej grupki na naszych wyższych uczelniach warszawskich i nie tylko warszawskich widoczny jak na dłoni — doskwierał szarej rzeszy studenckiej na pewno bardziej niż np. cenzura, z którą student nigdy nie miał osobiście do czynienia. Mimo to — ten ważny, arcyważny dla naszej społecznej przyszłości problem w dniach marcowych młodzież studencka przeoczyła. Przeoczyła i to, że **przywileje i protekcje to szczególnie drażliwy temat** dla wielu tzw. „przywódców ruchu studenckiego".

Colloquium z umiejętności wyciągania politycznych wniosków zostało więc raczej — oblane.

5.

Jak w naszym kraju formował się zakonspirowany, a przecież widoczny, system przywilejów? Powiedziano i napisano o tym wiele w ostatnich tygodniach. U podstaw tej choroby leżała polityka personalna Bermana i Minca. No dobrze, ale przecież oni pod względem politycznym nie przeżyli roku 1956?

Trzeba było dopiero „wypadków marcowych" byśmy się dowiedzieli, np. że syn pewnego ministra, rozbijając się służbowym Humberem ojca w towarzystwie pewnej pani docent, potrącił kogoś i potem zarówno eksminister jak i owa pani docent usiłowali zamydlić oczy Milicji — by synalka wyratować. Napisałem — „dowiedzieliśmy się" ale czy takie sprawy istotnie kryła tzw. pomroka dziejów wtedy, gdy nie były one ujawniane przez prasę? Bogać tam! O tym, że w pewnych sferach — ponad teoretycznymi założeniami naszego społecznego systemu, ponad intencją ustawodawczą, ponad partią i ponad narodem — powstał mocno związany system przywilejów — o tym wiedzieliśmy od dawna wszyscy. Milczeliśmy, i to nas wszystkich obciąża. **Fakt, że zmowa milczenia została przerwana — to już wyraźny zysk polityczny.** Postarajmy się go nie zmarnować. Ale wróćmy do przypadku eksministra Lesza. Solidarność ojca i pani docent we wspomnianej sprawie jest również godna szczególnej naszej uwagi: oto mamy wyraźny przykład powiązań, które stanowią fundament każdej kliki, każdej koterii. Spoiwem ideowym łączącym ludzi we wspomnianym wypadku była świadomość przynależności do elity. Linia graniczna przebiegała wyraźnie: wewnątrz owego fatalnego Humbera obowiązywała zasada specyficznego braterstwa: faceci z Kompanii Ruchu byli — jeśli nie wrogami — to intruzami. Należało ich spławić. Choćby kłamstwem. Chociaż pani docent z Wydziału Prawa wiedziała, iż wprowadzanie władzy w błąd itd. itd. Cel uświęcał środki.

6.

A jeśli już mowa o przywilejach: Wilhelm Billig został zwolniony ze stanowiska naszego czołowego specjalisty od spraw energii atomowej. Ale czy można w ogóle piastować — z nominacji, bez cenzusu naukowego — stanowisko czołowego specjalisty? Jak widać dowodnie — można, i przed laty, gdy W. Billig **został mianowany czołowym specjalistą naszej atomowej branży,** nikt w Polsce się nie zdziwił. Był bowiem W. Billig jednym z tych wszechkompetentnych specjalistów, którzy mogli być mianowani czołowymi naszymi przedstawicielami w każdej dziedzinie naszego życia. Powoli przywykaliśmy do tego, że ową abrakadabrę nazywano polityką personalną.

Roman Zambrowski był również takim wszechkompetentnym działaczem politycznym. Znamy go w Łodzi: tu właśnie nie raz dał się poznać jako — proszę wybaczyć to słowo, ale żadne inne je nie zastąpi — wyjątkowy c h u c p i a r z. Specjalizował się w różnych dziedzinach i zawsze mógł służyć własną platformą, własnymi, oryginalnymi sformułowaniami, jak np. owe, pamiętne z września 1948 r., kiedy to piętnując „nacjonalistyczne odchylenie" stawiał na Plenum KC PPR wniosek o usunięcie Władysława Gomułki. Później, działając w wielu resortach R. Zambrowski sprawdził się jako człowiek istotnie wszechstronny: od specjalizacji w zwalczaniu „polskiego nacjonalizmu" aż po dzisiejsze reprezentowanie — jak to określa prasa zachodnia — „liberalnego skrzydła partii", zawsze był w czołówce sięgających po władzę.

Jego syn — w co łatwo uwierzyć — ma tyleż sprytu, a może więcej niż ojciec inteligencji. Ale nawet ten spryt wszystkiego nam nie wytłumaczy. Bo istotnie, trudno pojąć, iż mogła powstać sytuacja, w której tacy ludzie ośmielali się znów pretendować do przewodzenia narodowi. A przecież to oni stali — jako przywódcy jakiegoś ugrupowania, nazywanego przez prasę zachodnią „liberalnym skrzydłem partii" — za plecami demonstrującej młodzieży. Ba! Lecz jak młodzieży udowodnić, że w odpowiednim momencie Zambrowscy żwawym kroczkiem wyszliby na czoło pochodu? Młodzież ich nie znała. Myśmy ich znali. Od lat!

7.

Historia lubi perwersje: obnaża się powoli, jej strip-tease przyprawił niejednego o zawał serca. Czy więc doczekamy się chwili, w której ujawnione zostaną powiązania personalne tych wszystkich klik, kliczek i koterii zatruwających nam życie przez długie lata?

Czy zresztą łatwo te powiązania ujawnić? Jak rozszyfrować związki, działające często półjawnie — lecz jeszcze częściej w głębokiej konspiracji? A może to gordyjski węzeł, który można rozciąć, lecz którego rozsupłać nikomu się nie uda?

Wypadki marcowe sprawiły, że klasa robotnicza zażądała, by ujawniać winnych i ich powiązania. Robotnik zabrał głos i to jako współgospodarz tego kraju — a nie jego sublokator. Wywołało to w pewnych kręgach osłupienie! Jak to? Więc polski robotnik nie jest głuchoniemy? To nacechowane pogardą zdumienie godne jest uwagi: demonstrują je dzisiejsi „liberałowie" — a niedawno jeszcze dzierżymordy o wyraźnych inklinacjach do maksymalnego ograniczania roli społecznej kontroli. Ciekawe, że ludzie, pouczający nas od lat, jak kłopotliwa i trudna, ba, jak wręcz niepopularna jest krytyka — nagle, od ubiegłego lata przeszli na pozycje przeciwstawne. I znów — nazwiska. Czy można mieć zaufanie do poczynań politycznych, w których maczają palce Schlaifer czy Strasser? W branżach handlowych **ta tatusia zawsze obciąża I syna. A w polityce?**

Jeśli już wymieniliśmy te dwa nazwiska, dla wielu dość upiorne, to wróćmy do problemu cenzury — która była przecież przez długie a pamiętne dla narodu lata domeną działalności wyżej wymienionych panów.

Cenzura — lecz komu podległa? Szeroko pojętej, mądrze rozumianej racji stanu: to oczywiste, choć nieraz dla twórców wcale niewesołe. Polityce? Tak jak na całym świecie. A resortom, ministrom, środowiskom zawodowym? Otóż, jak mi się zdaje, zbyt silny wpływ na działalność cenzury miały resorty: cóż dziwnego, że systematycznie wygaszały krytyczną ocenę własnej działalności. Krytykowany decydował o tym, co można skrytykować. Krytykowany utożsamiał się — jakże często — z państwem, z ideą socjalizmu. A kim był w istocie krytykowany? Czasem — człowiekiem sprawiedliwym. A czasem — człowiekiem koterii. Wyciągajmy więc wnioski.

8.

Myślę, że po „wypadkach marcowych" inaczej będziemy teraz patrzeć i na problem centralizacji, od dziesięcioleci krytykowanej a mimo to coraz bardziej pęczniejącej. Myślę, że tzw. warszawskiemu priorytetowi (wiadomo — stolica!) warto by się przyjrzeć od oficyn. Może argumenty od frontu pozornie słuszne, od oficyn okażą się prywatą, kumoterstwem, rozdrapywaniem mienia społecznego.

A więc bierzmy na warsztat i centralizację i priorytety. Polska „B" — województwa i miasta często uznawane w Warszawie za „zesłanie" zdawały w marcu egzamin polityczny nieraz na lepsze stopnie niż Warszawa — stolica Polski „A".

I jeszcze jedna sprawa: „Mała stabilizacja" (stan uśpienia, o którym pisano tyle, że mamy obecnie uczucie, iż była to kuracja prowadzona na znanej neurologom zasadzie: proszę powtarzać to, w co chce pan uwierzyć, proszę nieustannie powtarzać!) — otóż „mała stabilizacja", której wyznacznikami było zobojętnienie polityczne i tumiwisizm — okazała się parawanem. A za parawanem **działo się:** i nagle diabli wzięli pozory, natomiast ujawniła się, niestety, aż nazbyt wyraźnie nasza bezradność w politycznym oddziaływaniu na środowiska inteligenckie, studenckie, twórcze. „Wyszedł na jaw" fakt oczywisty: że w działaniu politycznym stabilizacja (bez względu na jej wymiary) to tyle, co zastój.

9.

I tak oto jesteśmy — a miejmy nadzieję, że i pozostaniemy — przy problemie sprawowania władzy w kraju, który pewnego marcowego dnia odkrył, że nie wszystko idzie tak pięknie, jak na akademiach „ku czci". Nagle szok: i z sennego nastroju małej stabilizacji — bez sytuacji przygotowawczych, przejściowych — przeszliśmy w stan wyjątkowego upolitycznienia.

Już ten fakt jest i arcyważny i ogromnie pożyteczny. Oczywiście, pod warunkiem, że nie wpakujemy go po werbalnej mumifikacji do archiwum. Ostatecznie, najważniejsze w wydarzeniach marcowych było nie to, że milicja starła się z demonstrującymi studentami. Najważniejsze było to, że w godzinie próby partia odwołała się do klasy robotniczej, że odpowiedź przyszła natychmiast. Że wreszcie przestała nas obezwładniać świadomość, wszystko decyduje się gdzieś w Warszawie, a ściślej — w pewnych warszawskich kręgach arcywtajemniczonych. Przekonaliśmy się, że sprawy polskie decydują się w Polsce.

Miejmy nadzieję, że to zaważy pozytywnie na naszym marcowym rachunku strat i zysków.

WACŁAW BILIŃSKI

Nożycami przez PRASĘ

BY NIE BYŁO NIEPOROZUMIEŃ...

Nawiązując do sprawy zwolnienia profesorów i docentów ze stanowisk uniwersyteckich i akademickich w Warszawie. pisze „Kultura":

Nikt nie powinien ulec wrażeniu, że chodzi tu o jakiś zamach na wolność nauki. Wielki filozof, profesor Ajdukiewicz, w swoim czasie będący również ofiarą niektórych spośród osób dzisiaj właśnie usuwanych — we własnej obronie jako własne credo sprowadził tę wolność do czterech postulatów. Wolności naukowej myśli, wolności naukowej wypowiedzi, wolności wyboru problemów badanych i wolności wyboru metod badawczych. Żadna z tych wolności przez ostatnie zmiany w życiu uniwersyteckim i akademickim nie została zagrożona.

Odwrotnie. W klimacie wolnym od terroru, nie tylko moralnego, dorobek każdego uczonego będzie mógł podlegać normalnemu krążeniu ocen krytycznych a ich prace staną się przedmiotem naturalnej weryfikacji specjalistycznych środowisk naukowych.

Z ROZMÓWEK

Ilekroć znajomi kandydaci na turystów pytają mnie o to, co warto obejrzeć w Łodzi, wpadam w niejakie zakłopotanie. Wiadomo, że fabryk turyści na ogół nie zwiedzają, nie jest to zresztą takie łatwe. Pomniczki nam się nie udały. Jedyny przyjemny pasaż to ten z fontanną i nagą dzieweczką p. Nowickiego, drugi, który był ładnie pomyślany, przegrodzono Domem Techniki.

Więc z przekonaniem wymieniam przede wszystkim muzea: Sztuki, Historii Włókiennictwa, Ruchu Rewolucyjnego przy byłej ulicy Długiej, Archeologiczno-Etnograficzne. Jednocześnie ostrzegam takich kandydatów na turystów, że jeśli do nas przyjadą po godzinie 20, to żeby nie zapomnieli o zabraniu wałówki.

A potem uzupełniam tę skromną informację:

— Była w naszym mieście po wojnie kawiarnia artystyczna „Fraszka" przy Piotrkowskiej 96, znajdowały się w niej rysunki Zaruby, fotele na których siadywali wybitni pisarze jak np. Broniewski i Gałczyński, dziś byłby to już lokalik z barwnym rodowodem, ale dawno temu zlikwidowali go jacyś biurokraci z Prezydium MRN.

— Dlaczego?

— Żeby mniej było kawiarń.

— Macie ich za dużo?

— O wiele za mało. — I zaczynam gadać: — Za dużo to mamy salonów obuwniczych i telewizyjnych. Bliżej do nich niż do sklepów piekarniczych, chociaż, o ile znam życie, częściej kupuje się chleb niż telewizory i buciki.

Jeszcze potem dodaję, że w związku z setną rocznicą urodzin Reymonta miało powstać — cóż z tego, że na początek skromne — Muzeum Literatury. Pomieszczeń na razie nie brakuje, choć na skutek nieprzemyślanej modernizacji mogą ulec zniszczeniu. Mówiono o dworku Geyerowskim, sąsiadującym z Muzeum Włókiennictwa, mamy jeszcze wiele domków sukienników i tkaczy, dworek przy ul. Tuwima. No, ale w sprawie tego Muzeum, które mogłoby się stać ciekawym obiektem dla łodzian i turystów zapanowała głucha cisza, rocznica przecież minęła.

Te zaprawione goryczą refleksje wywołała zwykła notatka kronikarska z prasy ub. tygodnia.

W pierwszą rocznicę śmierci ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO otwarto w Bydgoszczy Izbę Pamiątek zasłużonego pisarza, która stanowi zaczątek muzeum jego imienia. Izbę zorganizowała miejscowa Miejska Biblioteka Publiczna w uzyskanym od miasta dawnym mieszkaniu Grzymały-Siedleckiego. Znajduje się tu również czytelnia i pracownia naukowa. Izbą opiekuje się Rada Społeczna, która ostatnio zamówiła w Mennicy Państwowej medal ku czci pisarza; medal, według projektu artysty-medaliera E. Gorola, będzie gotowy w najbliższych dniach.

PRAWDA O FORDZIE

Z artykułu Ryszarda Gontarza w „Prawie i Życiu" (7 kwietnia br.) pt. „Szargam świętości", który poświęcony jest nadużyciom w Filmie Polskim warto zacytować pasus, dotyczący Aleksandra Forda. Oto króciutki, lecz jakże wymowny fragment:

Wyszła kiedyś w Polsce taka książeczka „Osmy dzień tygodnia". Dla niektórych pseudointelektualnych kół stolicy, dla bywalców kilku warszawskich kawiarń i klubów, dla leniwych kociaków z mini — rozumkami „Osmy dzień tygodnia" był ósmym cudem świata, Marek Hłasko ukazał w tej książce nasze społeczeństwo jako zbiorowisko zdemoralizowanych dziwek, degeneratów i notorycznych alkoholików.

Głodem, występkiem i czarną rozpaczą wieje z kart tej przedziwnej książeczki. Nie należy się więc dziwić, że właśnie ta książeczka zainteresowała producenta filmowego z Zachodniego Berlina Artura Braunera. Realizację filmu Brauner zaproponował reżyserowi Aleksandrowi Fordowi. Tak doszło do koprodukcji między Boston — Film — Establishment a Filmem Polskim. Ta koprodukcja zrodziła w 1958 roku dzieło Aleksandra Forda „Osmy dzień tygodnia". Zgodnie z umową film był rozprowadzany i reklamowany przez Boston — Film — Establishment w krajach kapitalistycznych. W Polsce natomiast poszedł na półki. Dlaczego? Dla tych samych powodów, dla których na Zachodzie robił furorę. Był to bowiem film w swej wymowie politycznej wrogi Polsce, oszczerczy, oburzająco nieprawdziwy. Efektem koprodukcji Filmu Polskiego z Arturem Braunerem z Berlina Zachodniego były nasze milionowe straty i kursowanie po świecie filmu oszczerstwa na Polskę i Polaków firmowanego przez Film Polski. Czy wyciągnięto z tej sprawy jakieś wnioski? Czy żądano od Aleksandra Forda i kierownictwa Filmu Polskiego wyjaśnień w tej skandalicznej aferze? Nie. Na ślad czegoś takiego nie natrafiłem.

W HELSINKACH O... SPRAWACH POLSKICH

W niedzielnym „Życiu Warszawy" z 7 i 8 kwietnia br. znajduje się ciekawy, jak zwykle gdy pisarz ten zabiera głos, reportaż Wojciecha Żukrowskiego. Zacytujmy fragment, odnoszący się do oceny aktualnej sytuacji w Polsce:

Niektóre rozmowy, zwłaszcza z profesorami uniwersytetu w Turku, wskazywały, że nasze kłopoty są przez nich uważnie obserwowane i że próbują wyciągnąć wnioski z naszych doświadczeń i praktyk. Prosze mi wierzyć, nie były to rozmowy wyłącznie towarzyskie. Kilka uwag sądzę, że warto przytoczyć. Pierwsze: sprawa antysemityzmu, krzyku, który ma obezwładnić wszelkie próby zmian personalnych na kierowniczych stanowiskach. „Znając składy naszych delegacji, dyrektorów departamentu, przedstawicieli oficjalnych na forum międzynarodowym i w relacjach handlowych, stwierdzają, że większość z nich to Żydzi, więc jakże tu mówić o przejawach antysemityzmu". Dwa: „Jeśli tylu ich jest na kierowniczych stanowiskach, nic dziwnego, że w ich obronie przy każdej próbie zmiany musi się podnosić fala ataków przeciw Polsce. Po prostu ich sojusznicy mają czego bronić, wspólnota interesów, trzeba obwarować swój stan posiadania. Jeśli nie będzie ich na kierowniczych stanowiskach, ataki natychmiast ustaną". Trzecie: sprawa nacisku ekonomicznego, blokady handlowej, nawet wezwanie do bojkotu polskich towarów. „Nie powinniście się tego bać, nie ma w tych działaniach żadnych solidarności, najwyżej wymienicie pośredników, na miejsce amerykańskich, angielskich, francuskich syjonistów wejdą Francuzi, Anglicy, Amerykanie, którzy również chcą zarobić, a na waszych towarach dobrze się zarabia. Nie wiem, czy ta wymiana nie okaże się korzystna dla obu stron. Przeważnie ten, kto próbuje brać krzykiem — nie ma racji".

JAN OLECHNO

Jak nas widzą tak nas piszą...

Informacje o Łodzi zamieszczają często pisma codzienne i tygodniki krajowe. Raz już zamieściliśmy na łamach ODGŁOSÓW notatki z rubryki COŚ Z ŻYCIA, redagowanej w POLITYCE.

W bieżącym numerze naszego pisma drukujemy notki o Łodzi i łódzkich sprawach, zamieszczone na łamach DOOKOŁA ŚWIATA.

Największe grono łodzianek, które wyszły za mąż za cudzoziemców, poślubiło uczących się w Łodzi słuchaczy Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców. Mniej więcej co dziesiąty słuchacz tego Studium żeni się w Łodzi przed ukończeniem wyższych studiów w naszym kraju („Kurier Polski").

* * *

Przed kolegium karno-administracyjnym w Łodzi toczyła się niedawno sprawa Edwarda F., który za głodzenie własnego konia otrzymał 2.000 zł grzywny z ewentualną zamianą na 6 tygodni aresztu!

* * *

62-letnia Rozalia B. z Łodzi dosłownie co pół roku stawała się posiadaczką nowiutkiego samochodu. Pasmo szczęścia trwało przez dwa lata. Odchodząc na zasłużoną emeryturę p. Rozalia wszystkie swoje oszczędności wpłaciła na książeczkę samochodową PKO. Już w pierwszym losowaniu wygrała „Zastawę", którą ofiarowała wychodzącej akurat za mąż wnuczce. Minęło pół roku i na tę samą książeczkę rencistka wygrała „Wartburga". Zapisała go wnuczkowi. Trzecim samochodem, który wygrała, była „Warszawa". Za namową rodziny dała ten samochód pewnemu taksówkarzowi, który notarialnie zobowiązał się wypłacać jej po 1000 zł miesięcznie w ciągu 5 lat. Czwarty samochód „Trabanta 601" sprzedała, a uzyskaną sumę wpłaciła na oprocentowaną książeczkę PKO. Wycofała też cały wkład z przynoszącej jej takie szczęście książeczki samochodowej, oświadczając, że dość już ma samochodów i nie chce prowokować fortuny...

* * *

Złodziej szedł sobie ulicą w Łodzi i zobaczył otwarte na parterze okno, więc wstąpił i skradł śpiącej parze małżeńskiej leżące na nocnych stolikach zegarki, po czym opuścił mieszkanie nie przerywając snu gospodarzom. W kilka godzin później milicja capnęła złodzieja na innej robocie, i ten, przyznawszy się do wszystkiego, wskazał adres, skąd zabrał zegarki. Wczesnym rankiem milicja obudziła owych państwa odnosząc zegarki i informując co się stało. Zamiast podzięki milicjantów spotkały wymysły i groźby. Gospodarze złorzeczyli dając za przykład złodzieja, który zrobił swoje nie budząc ich, podczas gdy milicjanci, zamiast po cichu podłożyć zegarki, przerwali im błogi sen.

* * *

Niemiłego figla spłatała pa puga „Ara", statystująca w filmie pt. „Katarynka", którego sceny były kręcone przy ul. Próchnika 36 w Łodzi. W pewnym momencie znudziła jej się rola statystki i pofrunęła na parapet okna na drugim piętrze. Nie pomogły prośby jej opiekuna, aby zechciała zająć miejsce na filmowym „planie". Ponieważ mieszkanie na II piętrze było zamknięte, filmowcy zwrócili się o pomoc do straży pożarnej. „Ara" niezadowolona z takiego obrotu sprawy, zwymyślała strażaków, skrzecząc: „psiakrrrrrrew, psiakrrrrrrew"...

* * *

Od kilku lat Łódź posiada najniższy w kraju wskaźnik przyrostu naturalnego, który w dodatku stale maleje. Obecnie wynosi on tylko 0,9 podczas gdy w 1960 r. wynosił 2,7. W II kwartale br. w Łodzi urodziło się 1855 dzieci. W tym samym czasie zmarło 1658 osób. Przybyło zatem 197 mieszkańców. Statystycy przewidują, że w IV kwartale br. wskaźnik przyrostu naturalnego dla Łodzi może wynieść zero. („Kurier Polski").

* * *

Jak informuje „Głos Robotniczy", działa w Łodzi „biuro zaginionych tatusiów". Tak można nazwać wojewódzką sekcję alimentacyjną działającą w ramach Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Sekcja ta m. in. poszukuje ukrywających się ojców, którzy chcą uniknąć płacenia alimentów. Niestety, wśród zaginionych tatusiów, znajdują się również uchylające się od płacenia alimentów matki. Takich spraw zarejestrowało „biuro detektywistyczne" aż 47!

* * *

Niecodzienny pozew wpłynął do sądu w Łodzi — informuje „Express Ilustrowany". Jan Z. wystąpił o zaprzeczenie ojcostwa i rozwód. Okazało się, że żona bez zgody małżonka poddała się zabiegowi sztucznego zapłodnienia i urodziła dziecko. Powód uważa, że poddając się inseminacji żona dopuściła się zdrady małżeńskiej. Sąd będzie miał trudne zadanie bowiem przepisy nie regulują dotychczas zagadnień związanych ze sztucznym zapłodnieniem. Oblicza się, że w Polsce urodziło się już ok. 10 tysięcy dzieci, których matki poddały się zabiegowi inseminacji.

* * *

Dr Jerzy R. z Łodzi, jak co dzień po przyjściu do szpitala, podniósł słuchawkę telefonu, aby zadzwonić do żony. Niemałe było jego zdziwienie, gdy w jego mieszkaniu zamiast żony odebrał telefon... ogniomistrz straży pożarnej. Grzecznie wyjaśnił, że właśnie dowodzi akcją gaszenia pożaru w jego mieszkaniu. Oczywiście dr Jerzy R. natychmiast pojechał taksówką do domu. Od kończących już swoją powinność strażaków dowiedział się, że meble zajęły się od nie wyłączonego żelazka elektrycznego. Strażacy odjechali, a lekarz postanowił poczekać na małżonkę, która wyszła spokojnie do sklepu po zakupy pozostawiając włączone żelazko... („Kurier Polski").

* * *

Tego jeszcze nie było. Do łódzkiego biura matrymonialnego „Swatka" zgłosiło się dwóch klientów: 72-letni Stanisław W. i jego wnuczek Wacław W. lat 23. Stanisław W. jest właścicielem kilkunastohektarowego gospodarstwa w okolicach Łodzi. Majątek ten już w całości zapisał wnukowi. Dla siebie poszukuje kandydatki z mieszkaniem, wnuczek zaś — dziewczyny, która zgodzi się wspólnie z nim prowadzić gospodarstwo.

* * *

Nauczyciel gimnazjalny Antoni W. z Łodzi ostrzygł na zero głowę swej 17-letniej córki. Uczynił to w czasie snu dziewczyny. Chciał w ten sposób ukarać ją za to, że ciągle przesiaduje w kawiarniach. Rozumował przy tym, że oszpecając córkę uniemożliwi jej życie towarzyskie. Metoda nie poskutkowała: dziewczyna jeszcze rzadziej bywa w domu. Powiedziała ojcu, że ma teraz większe powodzenie, ponieważ żadna dziewczyna w całym mieście nie ma takiej fryzury jak ona.

* * *

Pewien zagorzały kibic sportowy odbywający karę więzienia bardzo chciał zobaczyć mecz ŁKS. Wykorzystał więc nieuwagę strażnika i uciekł. Wprost z więzienia udał się na boisko, by oglądać swoją ulubioną drużynę. Tak był zaabsorbowany przebiegiem rozgrywek, że nie zauważył kiedy koło niego stanęli dwaj funkcjonariusze MO, którzy widocznie nie byli kibicami tej samej drużyny, gdyż mimo protestów uciekiniera — pisze „Express Ilustrowany" — zakuli go w kajdanki i odstawili tam, gdzie wyrokiem sądu powinien się znajdować.

* * *

Właścicielka jednego z łódzkich domków wniosła do sądu sprawę przeciwko lokatorowi, oskarżając go o obrzucanie stekiem wyzwisk, kiedy tylko pukała do jego drzwi. Oskarżony zaprzeczył i obarczył winą papugę, którą kupił na łódzkim rynku. Wulgarnych słów nauczył papugę poprzedni właściciel. Sąd nie dawał wiary, póki na salę rozpraw nie sprowadzono ptaka. Papuga bluznęła takim potokiem „łaciny", że sąd uniewinnił oskarżonego.

* * *

Zdumionym wzrokiem — pisze „Głos Robotniczy" — mieszkańcy Sieradza, Zduńskiej Woli, a zapewne także Pabianic i Łodzi — spoglądali w upalną niedzielę na czarny, dostojny auto-karawan, opatrzony nr rej. IR 2011, a należący do Miejskiego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego w Łodzi, na którego przedniej i tylnej szybie umieszczono napisy: „wycieczka".

* * *

Jak to bywa wśród młodych ludzi płci obojga — poznali się i postanowili się pobrać. Zawiadomili rodziców, którzy wyrazili aprobatę i — zaczęły się przygotowania. Matka dziewczyny W. C. z Łodzi zorganizowała ucztę weselną, na którą słono się wykosztowała. Kiedy jednak stawiono się w USC pan młody rozmyślił się. Towarzystwo rozeszło się. Ponowne spotkanie nastąpiło w sali sądowej, bowiem Władysława C. zaskarżyła niedoszłego zięcia o odszkodowanie za zerwanie obietnic małżeństwa i zwrot kosztów przygotowanej uczty. Sąd cywilny w woj. łódzkim orzekł, że zerwanie zaręczyn nie daje jakichkolwiek pretensji, które mogłyby być dochodzone przed sądem, natomiast skazał niedoszłego zięcia na zwrot kosztów poniesionych na weselną ucztę.

* * *

Do autobusu miejskiego kursującego po ulicy Piotrkowskiej w Łodzi — pisze „Express Ilustrowany" — wsiadł pewien obywatel trzymając w ręce dużej wielkości wiadro. W czasie kontroli biletów okazało się, że nie opłacił bagażu. Przed zapłaceniem mandatu zapytał jednak uprzejmie kontrolera, czy bagażem jest także... kapelusz. Kontroler oczywiście zaprzeczył. Wtedy pasażer nie namyślając się długo, włożył wiadro na głowę i poprosił grzecznie współpasażerów, aby zapukali w blachę, kiedy autobus zatrzyma się przy ul. Czerwonej. Zapanowała ogólna konsternacja, a potem wesołość. Pasażerowie spełnili życzenie dowcipnisia, który dopiero po wyjściu z autobusu zdjął wiadro i szarmancko pożegnał całą załogę czerwonego „Ikarusa".

* * *

W Łodzi panuje obecnie moda na niektóre imiona żeńskie. W każdej dzielnicy wygląda to jednak nieco inaczej. Na Bałutach np. najczęściej dziewczynkom daje się imiona Aneta, Magdalena, a w Śródmieściu — Katarzyna i Mariola. Chłopcy natomiast na Bałutach otrzymują najczęściej imiona Robert, Piotr i Paweł, a w Śródmieściu — Jerzy, Mariusz i Dariusz.

* * *

We wsi Brzeg pod Sieradzem wykopano w polu szkielet człowieka z nożem tkwiącym w prawej kości łopatkowej. MO wszczęła śledztwo, które jednak z czystym sumieniem umorzono. Okazało się bowiem, że szkielet pochodzi sprzed 900 lat!

* * *

Zegar na łódzkim Ratuszu od dłuższego już czasu nakręcany był przez jednego z emerytowanych pracowników miejskich. Łódzkie Archiwum odpowiedzialne za funkcjonowanie zegara wypłacało mu za tę czynność 300 zł miesięcznie. W ostatnim jednak okresie współpracę z rencistą zakłóciła kontrola przeprowadzona przez władze Naczelnej Dyrekcji Archiwów w Warszawie. Zakwestionowała ona pokwitowanie wystawiane co miesiąc przez rencistę, sugerując, że nakręcać zegar powinna spółdzielnia, a nie osoba prywatna. Na skutek tego umowa została rozwiązana, a na ratuszową wieżę wspina się teraz pracownik Spółdzielni Zegarmistrzowskiej „Precyzja". Nakręca on zegar nie mniej starannie, ale za tę czynność „Precyzja" pobiera już nie 300 zł a 1600 złotych miesięcznie!

* * *

Późną nocą pewien niezbyt trzeźwy łodzianin stał oparty o ścianę niskiego domku, czekając na nocny tramwaj. W pewnej chwili zachwiał się i uderzył w szybę okienną wybijając ją. Nie speszony tą przygodą wszedł przez wybite okno do mieszkania, grzecznie obudził domowników, przeprosił za nocne najście i zapragnął napić się wody. Domownicy w pierwszej chwili „zbaranieli", kiedy jednak nieproszony gość okazał się nad wyraz uprzejmy i sympatyczny, poczęstowali go wodą...

* * *

„Wesołe jest życie staruszka..." — głosi piosenka. A jeśli nie, to można je sobie rozweselić — dośpiewali sobie dwaj łódzcy staruszkowie 72-letni Stanisław B., i jego rówieśnik. Wpadli oni na pomysł zabawiania się kosztem pań dających ogłoszenia matrymonialne. Staruszkowie wspólnie układali listy, które wysyłali w formie ofert. Kobiety niczego nie podejrzewały i przychodziły na umówione spotkania do jednej z łódzkich kawiarni. Obaj staruszkowie tylko na to czekali. Zaśmiewali się do rozpuku, widząc kobiety rozglądające się po sali.

* * *

Pewien łódzki krezus z pliekiem gotówki przyjechał do Katowic, żeby „poszaleć". W jednym z lokali oświadczył kelnerowi, że bardzo mu się nie podobają buty, które kelner nosi i dlatego chce je kupić za 4 butelki „Martela". Kelner oczywiście zgodził się, co uczynił tym chętniej, że buty kosztowały go 160 zł i były już mocno podniszczone. Gość zapłacił za cztery butelki koniaku, dołożył do tego 500 zł napiwku... i przyniesionymi przez kelnera nożyczkami pociął buty na drobne kawałki.

Zebrała: M. C.

Gniewny między wojnami

Dalszy ciąg ze str. 1

samobójstwo. Po śmierci ojca utrzymywał się sam, pracując między innymi jako pomocnik murarski i pikolak w warszawskiej restauracji „Astoria".

„Pewnego wieczoru w restauracji „Astoria" Karol Szymanowski, idąc do toalety, widzi w korytarzyku pikolaka z książką w ręku; odruchowe zainteresowanie i okazuje się, że chłopak bystry, bardzo dowcipny, przyjemny. Spotkanie ma się z biegiem czasu przerodzić w trwałą, choć pełna burzliwych niespodzianek przyjaźń. Kiedy Zbyszek zapada na gruźlicę, znakomity kompozytor wywozi go do Zakopanego, otacza opieką"... — Aleksander Maliszewski „U brzegu mojej Wisły", PIW 1964.

W roku 1927 był akwizytorem firmy Block-Brun w Warszawie. W 1929 — obok St. R. Dobrowolskiego, St. Ciesielczuka, S. Flukowskiego, K. I. Gałczyńskiego, M. Piechala, St. Marii Salińskiego, W. Słobodnika i L. Szenwalda — należał do grupy poetyckiej „Kwadryga", publikując pierwsze opowiadania na łamach czasopism warszawskich.

W roku 1932 wydaje „Wspólny pokój". Jest to debiut książkowy Z. Uniłowskiego, początek jego krótkiej, burzliwej i błyskotliwej kariery pisarskiej. Obala pierwszy, uświęcony przez tradycję literacką mit.

Mit cyganerii

Jak doszło do napisania „Wspólnego pokoju"? Uniłowski wrócił z Zakopanego (...) „bez pieniędzy i dachu nad głową". Zamieszkał u St. R. Dobrowolskiego, który — jak wspomina A. Maliszewski: „Odstępuje mu swoje łóżko w alkowie".

„Mieszka tu już bezdomny Stanisław Maria Saliński zwany Dziadźką, codziennie rano wpada, aby pokrzepić się kawą i chlebem, były bohater wspólnego pokoju, Lucjan Szenwald; przychodzą kwadryganci, ale nie tylko, bo i neurastenizny Edward Boyé, znakomity tłumacz z hiszpańskiego, zawsze i wszędzie wietrzący spisek przeciwko sobie; raz i drugi staje na progu Władek Broniewski (...). Zbyszek powoli nabiera oddechu; włączył się w życie tego rojowiska typów, charakterów, antynomii (...) Ma już w teczce kilka krótkich nowel (...) Teraz zaczyna budować opowiadanie; ma to być rozprawa z dwoma młodzieńcami nie pasującymi do wyobrażeń Zbyszka o normalności. Rękopis się rozrasta, przybiera formę jakby notatnika prawdziwych i zmyślonych przeżyć lokatorów wspólnego pokoju na Nowiniarskiej 2. Przekora, może nawet bez intencji autora, nabiera barw złośliwości (...) nielojalności wobec przyjaciół, zwłaszcza że wszystkie nazwiska postaci (w rękopisie, przyp. mój — A. Mak.) są prawdziwe".

Wspomnienia A. Maliszewskiego, brzemienne w ciekawe szczegóły, nie pozbawione są także złośliwości (choćby ten fragment: „kiedy nasz przyjaciel, psychiatra, doktor Kempner odcinał go (Z. Uniłowskiego — przyp. mój — A. Mak.) ze strzyczka w swojej łazience). Wspomnieniom A. Maliszewskiego brak pięknej cnoty obiektywizmu. Toteż łatwiej nam przyjąć, odnośnie zmian w pierwotnych zamysłach twórczych Z. Uniłowskiego, sugestie Bolesława Farona (Miesięcznik Literacki, luty 1968):

„Początkowo zamierzał Uniłowski rozprawić się z beznadziejnością egzystencji, jaka mimo pozorów młodzieńczej beztroski wyraźnie trapiła ówczesną cyganerię literacką, w ramach krótkiego opowiadania. Z czasem rzecz się rozrosła pod piórem pisarza. Z planowanego paszkwilu czy pamfletu powstał utwór o szerszych ambicjach. Pojawiające się na pierwszych kartach rękopisu prawdziwe sceny i sytuacje w miarę rozwoju akcji nabierały własnej dynamiki, swoistego rytmu, niezależnego już od kopiowanej rzeczywistości".

Po ukazaniu się „Wspólnego pokoju" wybuchł skandal, który zazwyczaj towarzyszy nie tyle paszkwilom i pamfletom, co pewnej prawdzie artystycznej i społecznej, kolacji w oczy. Był to strumień lodowatej wody na głowę ówczesnej warszawskiej cyganerii, złopiącej gorzałę u „Wróbla", a kawę w „Ziemiańskiej"; elitki zatopionej w słodkim lenistwie, bezczynności, mającej o sobie złudne mniemanie, że żyje według wyświechtanych wzorów Boy'a i Przybyszewskiego, w sepim kapeluszu i dziewiętnastowiecznej czarnej pelerynie. Uniłowski zdarł tę pelerynę, brutalnie i zdecydowanie. Co było pod spodem? Szczytne ideały? Zakamuflowany pod maską humoru i ironii patriotyzm? Humanistyczna troska o oblicze świata? A może nic nie było? Nic! Cma głodnych kandydatów do nagrody Nobla wędruje od knajpy do knajpy. Uniłowski łapie ich pod pióro z tysiącem najdrobniejszych detali; obraz jest diabelnie sugestywny, chwilami przypomina reportaż — to jest właśnie ów literacki autentyzm, autobiografizm przypisywany Uniłowskiemu przez krytykę — nie ma znaczenia prawda kronikarska, jakby to chciał Maliszewski, nie ma znaczenia, że Lucjan Salis vel Zbigniew Uniłowski umiera w pięć lat później niż to sobie wywróżył we „Wspólnym pokoju", nie ma znaczenia czy Dziadźka spił się w „Astorii" czy w „Małej" i czy panna Leopard miała pięćdziesięciu kochanków czy pięćdziesięciu trzech, wreszcie nie ma znaczenia, czy Uniłowski był lojalny wobec przyjaciół, czy nie. Literatura jest z natury rzeczy bezwzględna, żeby nie powiedzieć: niemoralna. Pisarz, chyba każdy dobry pisarz, sprzedaje po kawałku siebie, swoje największe intymności, najświętsze przeżycia, więc także swoich przyjaciół. Niemoralny jest tak samo Faulkner i Hemingway, Babel i Dostojewski, którzy wycią gają brud z duszy swoich bohaterów, wyciągali go zarazem z samych siebie. Dlatego też Maliszewski, mówiąc o nielojalności Uniłowskiego, miał rację, jako człowiek, nie miał jej jako świadomy krytyk. Odwrotnie z Uniłowskim: jako człowiek nie miał racji, miał ją jako pisarz. Nie był przecież pamiętnikarzem ani historykiem. Jako artysta, przetwarzał rzeczywistość, improwizował na temat własnych doświadczeń życiowych. Był, jak chce krytyka, przedstawicielem autentyzmu i autobiografizmu, ale jego twórczość nie była chronologiczną rejestracją faktów, a ich literackim przetworzeniem. Uniłowski nie dał we „Wspólnym pokoju" prawdy kronikarskiej. Dał prawdę artystyczną — pewne intelektualne uogólnienie sytuacji, w jakiej znajdowała się część środowiska twórczego. I prawdę społeczno-polityczną — że też nie docenia się go pod tym względem — pokazał, w jak potwornych warunkach żyło i pracowało młode przedwojenne pokolenie pisarzy; te warunki: głód, brud, nory czynszowych domów — tworzyły wystarczająco plastyczne tło powieści; te warunki oskarżały ustrój, i usprawiedliwiały w dostatecznym stopniu odartą z mitów cyganerię.

III.

Po ukazaniu się „Wspólnego pokoju" warszawskie i pozawarszawskie czasopisma eksplodowały oburzeniem. Po trzech tygodniach książka została wycofana ze sprzedaży.

W 1933 roku ukazuje się zbiór opowiadań Uniłowskiego: „Człowiek w oknie". Te klasycyzujące, surrealistyczne, czasami groteskowe nowelki stanowią najmniej polemiczny rozdział w twórczości pisarza-realisty.

Ale przychodzi rok 1934. Latem, jako stypendysta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wyjeżdża Uniłowski na roczny pobyt do Ameryki Południowej: Podczas jego nieobecności, jesienią, dokładnie: 11 listopada, a więc w dzień Święta Niepodległości, kiedy to cała sanacyjna prasa pisała o potędze i wielkich moralę polskiej armii — „Wiadomości Literackie" z desperacką odwagą publikują Uniłowskiego: „Dzień rekruta".

Kolejny skandal, kolejny oba lony mit

Mit sanacyjnej soldateski

Paweł Hulka-Laskowski oburzał się w „Wiadomościach Literackich" pod tytułem niewybrednym: „Czy defetyzm?" Unkiewicz w „Pionie": „Kłamliwa enuncjacja". Ze wszystkich stron padały gromy — i na Uniłowskiego i na „Wiadomości". Przy okazji toczyła się dyskusja, czym właściwie jest ten „Dzień rekruta", opowiadaniem, reportażem, artykułem?... Nastąpiło tu, typowe dla Uniłowskiego, zamgmatwanie gatunku — bez zagmatwania konstrukcji i kompozycji. Utwór nie mieścił się w ramach akademicko pojętych struktur literackich, ale był integralny, zwarty, bogaty w treść. „Autor — jak twierdzi B. Faron („Ruch Literacki" 1966 nr 5) — nie manifestuje dokumentarnego charakteru utworu, rezygnuje z określenia miejsca akcji, nazwy jednostki wojskowej, prawdziwych nazwisk oficerów i podoficerów, czy innych sygnałów".

Nieborów

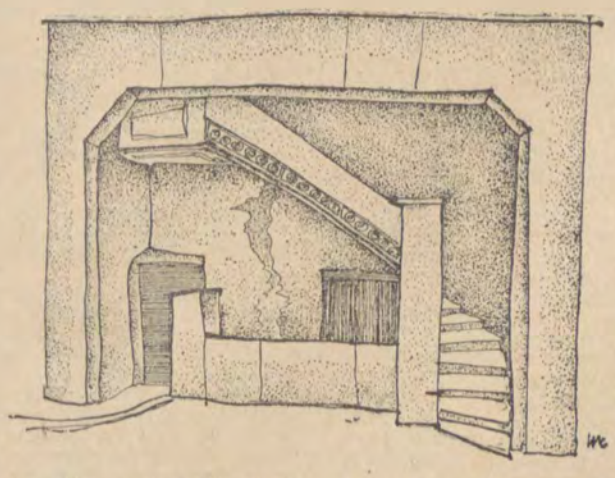

Minęliśmy w pędzie Arkadię, wjechaliśmy na dziedziniec Pałacu Nieborowskiego, i od razu powitał nas huk młotów, siekier, pił czy innych jeszcze ciesielskich narzędzi — bo w Nieborowie odbywa się akurat generalny remont.

Byłem tam jakieś 3 lata temu i podziwiałem bogactwo — ba! — tyle rzeczy do oglądania z historii narodu, łącznie ze starymi mapami i olbrzymimi globusami, pieców i całymi ścianami wykładanymi błękitną (indygową) porcelaną, schodami rzeźbionymi w ciemnobrązowe rzeźby, boazeriami, tkaninami kryjącymi ściany — mnóstwo rzeczy, cennych, szczegółów mających tak ważne historyczne znaczenie — tak, że idąc teraz przez zwały desek do wnętrza, byłem bardzo zaskoczony całkowitą zdawałoby się ruiną wnętrza.

Bo proszę sobie wyobrazić, że nic z tych wspaniałych stropów, ani jednego prawie ozdobnego szczegółu — gdzie niegdzie tylko pozostawiono kawałek stiukowego fryzu lub rozetę, lub plafon — wszystko wydawało się rozprute od wewnątrz, podparte lasem drewnianych drągów, podtrzymujących stropy — stropy ogołocone prawie całkowicie z ozdób, które były chlubą Nieborowa. Nawet głowy Niobe — tej od Gałczyńskiego nie ujrzałem — gdzieś się zapodziała w tym straszliwym rozgardiaszu, echowym stukaniu młotów i siekier, zimnym ciągłymi przeciągami.

Tak, że musieliśmy przewijać się bokiem między tymi belkami i z trudem odnajdywaliśmy sale, tak dobrze przedtem znane.

Niektóre części sal były zakryte konstrukcjami z pilśniówki — tam pewnie ukryte były piękne ozdobne piece; — to domysł a nie wiadomość sprawdzona, mimo że przez szpary przeglądały kafle pieców.

Na podłodze leżały potężne zwały stalowych teowników; — niektóre stropy jeszcze popękane, podrapane, zwłaszcza w sieni, gdzie gotyckie łuki czekają cierpliwie na ratunek.

Niektóre salki o ostrołukich sklepieniach już na biało wytynkowane, odnowione z wielką umiejętnością, nie tracące nic z gotyckiej wrażliwości.

Gdzieniegdzie ze ścian wyłazi jeszcze surowa cegła, bo jeszcze czas na nią nie nadszedł.

A wszystko podstemplowane gęstym borem drewnianych belek.

Chodziliśmy więc między nimi: wśród nich jak drwale w watowanych kufajkach pracowali robotnicy.

Słowem generalny remont aż do zawrotu głowy, tak całkowity, że nawet doskonały znawca Nieborowa, miałby trudności ze znalezieniem gdzie co, kiedyś było, mimo że remont odbywa się z całym pietyzmem.

Pochodziliśmy wśród tego zadrzewionego bałaganu odcyfrowując to i owo, odgadując znajome rzeczy wśród tego chaosu. Wyszliśmy na dwór, aby pałac obejrzeć od zewnątrz. Po wierzchu — owszem — taki prawie sam, jak zawsze, bieluteńki z ozdobami nadokiennymi, stromym dachem i dwoma grubymi wieżami po bokach — tyle tylko, że na podwórzu pełno porozrzucanych budek i pakamer, desek, belek i wszelkich pomocy konstrukcyjnych.

Do parku zajrzeliśmy raczej z obowiązku, bo zwały belek przeszkadzały w swobodnym poruszaniu się — trochę podumaliśmy i trafiliśmy do bocznego budynku — również białego, gdzie siedzibę ma stały opiekun i kustosz, przeuroczy pan Wagner. Bardzo uprzejmie nas przyjął, mimo że czekała na niego jakaś komisja czy ludzie w sprawie dalszych instrukcji — zaprosił nas do środka i poświęcił nam aż pół godziny czasu, mimo że mu się śpieszyło.

I opowiedział nam wiele o Nieborowie, a zwłaszcza o ostatnim kapitalnym jego remoncie.

Bo Pałac Nieborowski od dawna już wymagał całkowitego wzmocnienia; konstrukcje miał drewniane, które kornik porządnie już stoczył i grzyb naruszył, tak że stropy zaczęły się wyginać i grozić zawaleniem; grzyb od dołu zaczął swoją niszczycielską robotę, tak że potrzeba remontu całkowitego zaistniała nieodwołalnie. Już w okresie międzywojennym pewne dorywcze remonty przeprowadzono, ale niewystarczające do zachowania zabytku na dłuższą metę.

Po wojnie już w 1963 roku powstał dokładny plan całkowitego remontu, wymiany przede wszystkim na wpół zgniłych belek na stalowe konstrukcje — aby cenny budynek zachować już na zawsze w przyzwoitym stanie. Ponieważ w tym czasie trwały prace nad Wilanowem musiano poczekać, aż fachowcy (Pekazety, Muzeum Narodowe w Warszawie i DESA) będą mogli ostro i serio zabrać się do Nieborowa. I tak zaczął się ten remont od 1965 roku, a ma być skończony w 1970.

I miła o tym dla Łodzi wiadomość, że pięknymi, historycznymi materiałami — rekonstrukcją ich i odnową zajęła się Łódzka Spółdzielnia Rzemieślniczo-Artystyczna, która dzięki swym pracom zdobyła nie tylko krajowe ale i zagraniczne uznanie.

I miło także napisać, że niemałą rolę odgrywa w konsultacjach docent Adam Nahlik z Łódzkiego Muzeum Włókienniczego.

Doktor Wagner szczególnie to podkreślał, więc idąc za jego życzeniami, oddaję cesarzowi co cesarskie, tym bardziej, że jak wywnioskowałem ze słów dra Wagnera, współpraca z panem Nahlikiem układa się bardzo harmonijnie i rzeczowo.

Cały budynek musiano odgrzybić — to znaczy oddzielić chore fundamenty warstwą papy i smoły, co kosztowało niemało trudu, bo trzeba było piłować grube nieraz kamienie — niejako odrzynać mury od fundamentów — i zakładać w powstałą w ten sposób szparę środki izolujące.

Pod ziemią odkryto przy tym fragmenty starych piwnic, które uzupełniono. Pałac został zbudowany na zarysach starego dworu Nieborowskich — w XV wieku.

Cegła była gotycka o układzie polskim.

W sieni głównej odsłonięto dawne gotyckie łuki — zachowały się 2 przęsła, które teraz z wielkim uszanowaniem rekonstruuje się.

Koniec remontu przewiduje się na 1970 rok; — trochę mnie ta data przeraża, bo Nieborów na razie jest w stanie kompletnego rozkładu. Czy zdążą?

Wszystkie eksponaty na razie zgromadzono w bocznych budynkach; magazynach, które po zakończeniu remontu staną się salami wystaw czasowych.

Zanim doszło do tej generalnej bitwy o Nieborów, roboty przygotowawcze zaczęły się już od 1962 r.

Nieborów jak dawniej będzie również ośrodkiem pracy twórczej dla literatów, historyków sztuki, publicystów, plastyków, gdzie będzie można zamieszkać w gościnnych pokojach i w spokoju popracować; gdzie będzie można znaleźć wspaniały kąt do pracy dla parających się sztuką.

I tutaj też będą się odbywały konferencje kulturalne, zjazdy historyków sztuki — słowem Nieborów po remoncie zyska jeszcze na znaczeniu i stanie się jednym z reprezentacyjnych ośrodków w kraju.

Zresztą piękny park nieborowski, bliska Arkadia, niedaleka Wola Żelazowa; Łowicz leży jakoś na jednym szlaku kulturalno-turystycznym i stworzy kawał historii Polski.

Olbrzymi udział w odbudowie bierze także Muzeum Narodowe w Warszawie (prof. Lorentz).

Dużo, bardzo dużo o Nieborowie opowiedział nam uroczy, kulturalny pan Wagner.

Pół godziny miłej rozmowy minęło jak z bicza strzelił; — przez drzwi ciągle zaglądali ludzie zainteresowani odbudową; miało się odbyć chyba jakieś ważne zebranie.

Pożegnaliśmy przeto z pośpiechem i wielkim żalem naszych miłych rozmówców — bardzo wdzięczni za udzielenie nam w bojowych warunkach tak cennych informacji.

Być może, że wiele ważnych wiadomości uszło naszej uwagi, mimo że starałem się skrzętnie je zapisywać — wszystkie perypetie obecnego Nieborowa — ale to już niech mi wybaczy p. dr Wagner.

I tak na zakończenie przyszło mi na myśl, że Nieborów nie mógł otrzymać lepszego gospodarza i opiekuna.

WACŁAW KONDEK

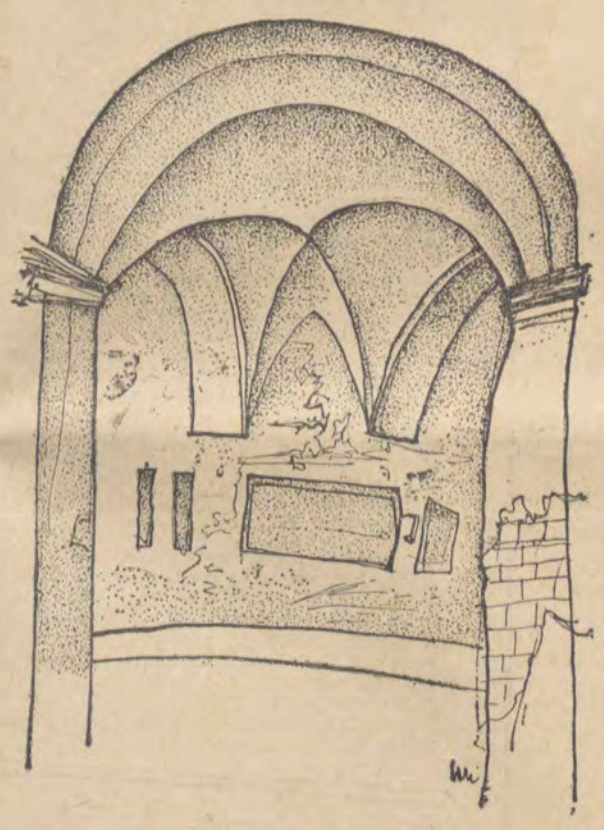

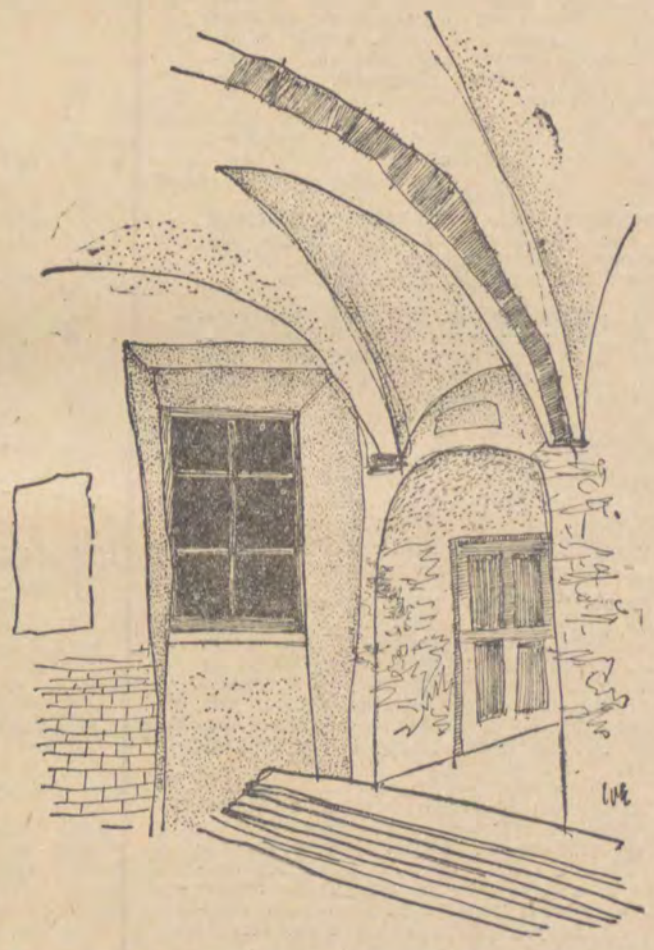

Tym niemniej, a może właśnie dzięki temu, „Dzień rekruta" ma wszelki posmak autentyzmu, ogromną siłę uogólnienia. Znowu ta ogromna sugestywność obrazu. Pisarz utożsamia się z narratorem: jest literatem, choruje na gruźlicę, występuje w pierwszej osobie. Jego przeżycia składają się na fabułę utworu. Nie wiem, czy Uniłowski rzeczywiście służył w wojsku. Wiem natomiast, że obrazy, które stwarza, są artystycznie prawdziwe. „Dzień rekruta" jest ciężki od realiów, ma wielki walor poznawczy, dziesiątki bezbłędnie podpatrzonych szczegółów, scen i gestów, kapitalny, jędrny dialog — obnaża się rzeczywistość przedwojennej soldateski, jakże odmienna od dotychczasowych kreacji literackich i filmowych, gdzie buszował ułan na koniu z szabelką u boku, czyściutki, przystojniutki ulubieniec salonów. Wyłania się koszarowa prawda, znojny dzień żołnierza, idiotyczny dryl wojskowy, chamstwo oficerów. Żołnierz w pierwszym rzędzie uczy się szorować latryny, myć okna i pucować oficerskie konie: dopiero potem ćwiczy się w strzelaniu.

To wszystko odkrył dla polskiego czytelnika Z. Uniłowski. Nie było to wielkie odkrycie, ani trudne. Wymagało od pisarza odwagi i sprzeciwu wobec utartych szablonów literatury. Wymagało zwykłej, szarej prawdy.

IV.

Po „kłamliwej enuncjacji", którą uznano za wyraz antypaństwowej postawy, Uniłowski został odwołany z podróży stypendialnej po Ameryce Południowej i latem 1935 roku powrócił do Polski. Owocem amerykańskiej wyprawy były dwie książki: opowieść o Paranie i brazylijskich ośrodkach polonijnych „Żyto w dżungli" (1936) oraz dziennik podróży „Pamiętnik morski" (1937). Obalił tu kolejny mit

Mit literatury podróżniczej

Były to nie tyle reportaże, co rewizje reportaży, rewizje książek podróżniczych w ogóle. Już w poprzedzających obie powieściach listach z podróży pisał, zakładając świadomy sprzeciw wobec dotychczasowych wzorców reportaży i powieści „egzotycznych": „Nie będzie tła, ryb latających, smugi dymu z komina, bezkresnych dali, przeczystego powietrza, delfinów". Rzeczywiście — nie było. Podjął walkę na szerokim froncie sprzeciwiając się wszystkim swoim poprzednikom, Fiedlerowi, Słonimskiemu, Makarczykowi, Lepeckiemu, w tym co słuszne i niesłuszne. Rzecz jasna — wpadł z jednej skrajności w drugą, dopuścił się niejednokrotnie fałszu.

Ale oto jak odbrązawia brazylijską przyrodę, opiewaną przez innych w zachwycie:

„Jasno sobie uświadamiam, że nie jestem urodzonym podróżnikiem i że ta wędrówka od chałupy do chałupy razi mnie nudą pospolitością. Uroda brazylijska raziła mnie swym przesadnym bogactwem i rozwydrzeniem barw, jak razić może niegustownie ubrana żona właściciela dwudziestu jatek mięsnych w jakimś mieście. (...) Roślinność tutejsza, upojona chamskim dobrobytem, kłębiła się w tłocznym rozpasaniu, drzewo wrastało w drzewo, mchy, trzciny i paprocie do spółki z lianami nachalnie tłoczyły się wokół drzew... widok ten, który by pierwszego dnia mógł się nawet spodobać, powtarzał się bezczelnie i dowodził złego smaku. Tutaj doświadczyłem, że natura może nudzić"; („Żyto w dżungli", str. 86).

„Tropa pędziła z łoskotem w obrzydliwie, sucho prażącym słońcu i w kłębach przenikliwego, czerwonego pyłu. W tym śmierdzącym kraju wpada się w skrajne ostateczności. Raz leją się z nieba potoki, potem znów rozprażona łaźnia dżungli" („Żyto w dżungli", str. 224).

I mała próbka z „Pamiętnika morskiego":

„Wszystko tu jednakie: smutna, brudna blacha dnia roboczego. Woda siecze o wodę, na wodzie nieco kolorowego śmiecia, skórki pomarańczowe, rozdarte puszki, bzdurna deszczułka z kilku wystających gwoździami i z pospolitym fragmentem napisu made in... trochę zielska, cebula nie cebula — monotonne poruszanie się tego paskudztwa na mizernej fali". — Oto jak widział Uniłowski owiane legendą porty i morza Południowej Ameryki.

Wędrując z Uniłowskim przez ośrodki polonijne Parany, dwa (aż dwa!) razy słyszymy, że brazylijski osadnik, to fascynujący, godny podziwu człowiek, dzielny i wytrwały, gdzie go tam porównać z naszym głupim przedwojennym chłopkiem. Pozostałe jednak stronice mówią co innego. Każda prawie napotkana chałupa cuchnie: to moczem, to łajnem, większość ludzi — działaczy polonijnych, urzędników, sklepikarzy i wieśniaków — to łajdaki, debile, oszuści, zaprawieni od rana brazylijską wódką — kaszasą; z pięciu występujących tu księży — jeden jest pijakiem, drugi wyłudza pieniądze, trzeci żyje z siostrą zakonną, czwarty „omiata wzrokiem biodra Grzeszczeszyna". Sam Grzeszczeszyn, czołowa postać utworu, ma skłonności do kóz i robi różne świństwa. Indianie, których autor spotyka, są zidiociali, chytrzy, bez żadnej godności, żebrzą o papierosy i targują się chciwie o pieniądze za pozowanie do zdjęć. Dzieci w polonijnej szkole, które przepytuje w obecności autora i ograniczonego belfra Grzeszczeszyn, takie mają wiadomości o Polsce:

— Powiedzcie mi teraz, co to jest Wisła?
— Woda — ponuro odpowiedział śniady chłopiec z pierwszej ławki.
— Ale jaka?
— Polska!
— A tak!... no... no dobrze ale gdzie ona płynie?
— W Polsce!
— No, a duża ta Wisła jest?
— Duża!
— A długa?
— Oj, chyba długa!
— Ryby tam są?
— Chyba nie ma!
— Skąd wiesz?
— Albo są!...

Wiesław Górnicki, pisząc paszkwil na Polonię w Stanach Zjednoczonych, wydaje się w porównaniu z Uniłowskim dobrodusznym moralizatorem. To też kiedy „Żyto w dżungli" ukazało się w księgarniach, autor został zasypany zarzutami. I dużo można mu zarzucić: że jest naturalistyczny, subiektywny, egocentryczny, że w swej podróży zobaczył tylko to, co czarne i drażliwe. Ale trzeba z drugiej strony przyznać, że napisał książkę bez kompromisów, nie podlizywał się wydawnictwu i czytelnikom, nie rozpływał się w zachwytach nad przyrodą, nie poklepywał dobrodusznie nikogo z opisanych, po ramieniu. Być może właśnie Uniłowski wskazał literaturze podróżniczej drogę.

V.

Ostatnią, wydaną w roku 1937 książką Uniłowskiego było „Dwadzieścia lat życia". Podważył tu jeszcze jeden nietykalny mit literatury:

Mit dzieciństwa

Ukazał się tylko pierwszy tom tej powieści. Drugiego Uniłowski nie zdążył napisać, choć zachował się jego plan drukowany po śmierci autora w „Wiadomościach Literackich". Są także fragmenty, będące kontynuacją tomu pierwszego: „Na dole" i „Dalsze dzieje Kamila Kuranta".

Bohater „Dwudziestu lat życia", Kamil Kurant, utożsamiany był przez międzywojenną krytykę z Uniłowskim.

„Wspólny pokój" — pisze Emil Breiter w „Tajemnicy talentu" („Wiad. Liter."; 1937 r. nr 50) stanowi jedynie wstęp do wielkiej powieści autobiograficznej, której nie dane było Uniłowskiemu dokończyć. Ale już pierwszy tom tej powieści „20 lat życia" i zawarte w nim dzieje Kamila Kuranta stanowią trwały wkład do literatury. Historia życia tego dziesięcioletniego chłopca jest autentyczną biografią samego autora".

Trudno sprzeczać się z tą opinią. Może była to autentyczna biografia, a może nie. Jedno jest pewne i ważne, dotychczas w polskiej literaturze dziecińśtwo była fetyszem. Choćby najbardziej smutne i tragiczne, ulegało idealizacji, upiększeniom i korektom. Zarówno u Sienkiewicza i Prusa, jak i Żeromskiego, Uniłowski, pisząc powieść o dzieciństwie (może i swoim), odżegnał się od tych tradycji. Uniłowski pisząc powieść o dzieciństwie osaczył swojego bohatera na brudnym, ociekającym nędzą Powiślu; w atmosferze beznadziejności i udręki. Czasami Kamil Kurant ucieka z planu, akcja pełznie powolutku, albo staje w miejscu i zaczyna się drapieżny reportaż o nadwiślańskiej dzielnicy: bramy od mieszkania do mieszkania, od domu do domu, poznajemy ulice, podwórka i zatęchłe wnęki uchwycone z precyzją kamery, przewija się na tym tle kilkadziesiąt osób, które tylko pozornie nie wiążą się z losami Kamila, knajacy, dozorcy, szewcy, robotnicy, ludzie najczęściej zdeterminowani, wyniszczeni przez choroby i głód; roztacza Uniłowski szeroką panoramę warszawskich enklaw i ludzkiej niedoli. Jest to z pewnością najpełniejszy i najdoskonalszy artystycznie obraz międzywojennego Powiśla, a tym samym: najsurowsze oskarżenie kapitalistycznych rządów. Świadek oskarżenia, Kamil Kurant żywił się podniesionymi z ulicy ogryzkami owoców, sprzedawał robotnikom niedopałki papierosów, czasami kradł; był przy „upadku" swojej matki, włóczył się po więzieniach, w których przesiadywał notorycznie jego ojciec; oglądał oczami małego chłopca świat okrutny i bezwzględny. Oskarżał ten świat.

VI.

W 1935 roku Uniłowski poślubił Marię Lilpop. Jego sytuacja materialna uległa zdecydowanej poprawie. Przeprowadził się do wytwornego mieszkania przy Alei Róż. Z czasem doczekał się potomka, którego 11 listopada 1937 roku osierocił.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

JAN HUSZCZA

SĘP SYBIRU

A na Wiśle było zwyczajnie, wesoło: dymi parochód, na tratwach flisy, berlinki wieją żaglami. Za mostem dorozka zatrzymuje się przed „zbornym punktem", tam konwojowanych przebierają w aresztancki lub rekrucki strój, własne rzeczy, choć mogłyby się przydać, trzeba sprzedać, a właściwie oddać prawie za darmo, za kopiejki, za kilkanaście srebrnych grzywien. To zysk tych, co tutaj służą. Nikt z rodziny nie czekał przy drodze, bo skąd mogli wiedzieć, nieraz wychodzili z nadzieją rzucenia pożegnalnego spojrzenia, ale nie zgadli, którego ranka bliski opuści miasto. Jak ciężko było, choć wiosna poczynała zielenić drzewa, bez spojrzeń ostatnich, wymienionych z najdroższymi, o których od dawna myślało się ze wzruszeniem, zapominając o kłótliwej nieraz powszedniości. Zmienieni, przeobrażeni do niepoznania, pozbyci dawnego wyglądu, idą między konnymi kozakami, słuchając świstu nahajek, przez Pragę w daleką drogę.

A potem najlepiej zamknąć się w sobie, ogłuchnąć na wrażenia z zewnątrz. W pamięci zostaje jakiś krzyż przydrożny z umęczonym Chrystusem, a zaciera się kolumna króla z mieczem i krzyżem, noclegi w izdebkach o okratowanych oknach, na słomie pełnej żywego plugastwa, prusaków i karaluchów.

*

Nareszcie można było dokładniej rozejrzeć się po Siemipałatyńsku, w niczym nie przypominającym miast polskich, bo i taka Dzisna przedstawiała się korzystniej.

Na pół miasto, na pół wieś, wszystkie domy, nawet piętrowe, nawet budynki rządowe były drewniane, niektóre tylko spośród nich oszalowane żółto i niebiesko pomalowanymi deskami.

Miasto rozłożyło się na prawym, obfitującym w sosnowe bory, mniej jałowym brzegu Irtysza. Liczyło jakichś sześć tysięcy mieszkańców, uwzględniając garnizon i katorżników. Kupcy pochodzili z różnych stron, Rosjanie i Tatarzy z Kazania, Uzbecy z Taszkientu i Buchary.

Prawie pośrodku rzeki znajdowała się duża i urodzajna wyspa, były na niej bazstany, rosły arbuzy i melony, dynie i ogórki. Nic tu nie przypominało stepu, który latem na wielkich przestrzeniach był wyschnięty i niemal nagi jak skorupa żółwia, jeśli tylko uzupełnić to porównanie barwami piachu i zrudziałych, zżartych przez upały traw.

Na lewym dzikszym brzegu, z którym łączność utrzymywał prom, mieszkali na poły tylko osiadli Kirgizi (jeszcze nie odróżniano Kirgizów od Kazaców), przeważnie w wojłokowych jurtach. Tylko zamożniejsi spośród nich mieli drewniane domki, do których przenosili się zimą. Liczono ich tam do trzech — czterech tysięcy.

Siemipałatyńsk dzielił się jak gdyby na trzy części, pomiędzy którymi leżały wydmy, nawiewane w czas letnich burianów.

Na północnym krańcu znajdowała się kozacka słoboda, w której żywe były tradycje syberyjskiego zdobywcy Jermaka. Kozak ten w rzeczywistości nazywał się Wasyli Timofiejewicz Alenin. Śpiewano o nim dumki. Słoboda ta zalecała się czystością, porządkiem i schludnością. Ich kobiety nawet podmostki do suszenia ryb często szorowały. Pośrodku znajdował się skwer z topolami i krzakami czeremchy, obok stał dom dowódcy pułku, sztabu pułku, szkoły wojskowej i szpitala. Koszar nie było, kozacy podobnie jak i gdzie indziej, prowadzili osobliwe życie wojsko-cywilne, mieszkali we własnych domkach, zajmowali się gospodarstwem, w którym lwia część obowiązków spadała na kobiety. Z kozakami Polacy nigdy się nie zadawali.

Największa była słoboda tatarska, rozłożona w południowej części; domy wyglądały podobnie, ale od ulicy nie miały okien — ze względu na haremowy tryb życia kobiet. (U Kirgizów panowało raczej jednożeństwo). Wysokie parkany ukrywały przed oczyma ciekawskich życie mahometan. Wśród tych zagród nie znalazłbyś ani jednego drzewka.

Pomiędzy słobodami rozłożyło się miasteczko rosyjskie, najbardziej otwarte, wśród jego mieszkańców przeważały rodziny wojskowych i urzędnicze, rzucały się w oczy zabudowania forteczno-więzienne, turma. I tu oko próżno chciałoby spocząć na drzewku czy krzaku, wśród sypkiego piasku sterczały piołuny, wiatr pędził kolczaste krzaki wyschniętej gipsówki, pierekati — pole, zbijając je niekiedy, na krótko, w ażurowe wały. Zdarzało się jednak widzieć powozy z żołnierzami na kozłach, wiozące kobiety w kapeluszach z woalką, w obramowanych sobolami płaszczykach. W tym mieście wyglądało to wyjątkowo egzotycznie. Wypijano dużo szampana, co nie świadczyło o wyrobionym smaku, ale o szerokości hulaszczego gestu.

Gubernator mieszkał nad brzegiem Irtysza w najlepiej położonym domu. Z okien widziało się kirgiski posiołek, a dalej równinny step, zakończony niebieszczejącymi we mgle górami, odległymi o jakieś siedemdziesiąt wiorst. W kierunku na osadę Pawłodar, na północo-zachód i północo-wschód, zaczynały się nizinne, piaszczyste i bezwodne stepy kułundzińskie.

Jak pisał baron Aleksander Borysowicz Wrangel, który przez pewien czas był tam prokuratorem i zaprzyjaźnił się z wypuszczonym z omskiej katorgi Dostojewskim, gdzie ten do uprzykrzenia chwalił się szlacheckim pochodzeniem, a Polakom, prowadzącym antycarskie rozmowy, groził donosami, gazety prenumerowało jakieś piętnaście osób (baron zapewne nie wiedział o czytających Polakach), interesowano się kartami i pijaństwem, poprawinami i interesami handlowymi, które układały się nadzwyczaj pomyślnie.

Sybiraków, tych najbardziej zadomowionych, w ogóle mało zajmowała Europa, czuli się jakby oddzielnie.

Sam baron, młody człowiek nie pijący i nie grający w karty, należał zapewne do wyjątków, gdyż wypisywał aż trzy pisma: „Sankt-Pietiersburgskije akadiemiczeskije wiedomosti", „Augsburger allgemeine Zeitung", „Indépendance Belge", pismo nieprzychylne dla spraw polskich.

Jak notował tenże baron, rozrywek kulturalnych nie było żadnych. W ciągu jego dwuletniego pobytu (1854—1856) nie zawitał tam ani jeden muzyk, ani jeden sztukmistrz. W ogóle, jeśli mamy mu wierzyć, a baron zasługuje na szacunek, w mieście był jeden tylko fortepian, zaś najciekawszych pod względem kulturalnym ludzi dałoby się znaleźć jedynie w ostrogu i wśród posieleńców. Szczególnie interesował barona właśnie szeregowiec siódmego liniowego batalionu, Dostojewski.

*

Znaną, a poniekąd i lubianą osobą był pan Aleksander, prawie przez wszystkich poufale zwany Saszą. Antoni zetknął się z nim, gdy ubiegłego lata byli wysyłani do różnych domów, skarbowych i prywatnych, aby malować ściany. Właściwie to nie malowali, ale tylko bielili. Ściany z bierwion oblepiało się gliną, wyrównywało powierzchnię, rozrabiało wapno i na tym to wszystko polegało. Antoni wpadł na pomysł, żeby robić szlaczki kolorowe pod sufitem, co wielu bardzo się podobało. Było to dla kilku katorżników, w tym i trzech Polaków, może najmilsze lato. W niektórych mieszkaniach przyjmowano ich życzliwie, niekiedy nawet serdecznie. Zapraszano do obiadu i kolacji, dodatkowo wynagradzano, co zasilało ich ubogą kasę, gdyż z rozliczeń za wykonaną pracę, oni, katorżnicy, nic nie otrzymywali. Rosjanie dziwili się, że są to ludzie dość wykształceni — silno gramotnyje — i z towarzyskim obyciem, jakiego tu wszędzie brakowało. Towarzyskie obycie Antoniego było właściwie skromne, polegało nie na formach, ale na szacunku dla ludzi, jednak jak na tutejsze stosunki nieraz mogło się wydawać, iż pochodzi z jakichś wyższych sfer. Nigdy inaczej o nich nie mówiono, jak „polskije dworianie".

W jednym z mieszkań trafili na większą popojkę. Najbardziej podpitym, hałaśliwym i sztucznie wesołym okazał się tym razem rodak, właśnie pan Aleksander. Po paru zetknięciach dowiedział się Antoni, że pan Aleksander znalazł się na Syberii jeszcze w 1847 roku. Był zamieszany w sprawę ks. Ściegiennego. Po licznych doprosach, zaczynających się z rana, a kończących się późną nocą, odczytywano wyroki, zwyczajowo niejedną pojedyńczą celę posypywano jedliną na znak, że o świcie jej mieszkańca zaprowadzi się pod szubienicę. Od dwóch lat mógł wracać do kraju, ale wszystko wskazywało na to, że nie wróci. Urządził się tutaj, zadomowił, a właściwie zrezygnował z przeszłości, przestał odczuwać jej pęta, jak sam się przechwalał...

*

— Chodź, Antoś, to się napijesz... Tu bez gorzałki żyć nie można! — zawołał do Dowmonta przez okno Aleksander.

Zrywał się wiatr, rozdmuchiwał piasek, na razie w krótkie wachlarzyki, w lisie kity, powietrze w niższych warstwach zaczynało rudzieć. Wkrótce zapewne piasek będzie się kłębić podobnie jak śnieg zimą, wachlarzyki staną się ruchomymi niemal pionowymi ławicami, pędzonymi ze stepu i z miasta w step. Świadczył o tym niepokój domowego ptactwa i koni. Gdzieniegdzie zatrzaskiwano okiennice, by jak najmniej piasku dostało się do wnętrz ludzkich.

Antoni z przypadkowego zaproszenia tym razem ucieszył się, bowiem od paru dni nie wiedział jak sobą pokierować, o co się zaczepić.

Pan Aleksander mieszkał w dzielnicy rosyjskiej, blisko było od jego domku do rzeki, teraz przypominającej olbrzymi sagan z gotującą się wodą, do której na dodatek wrzucono jakąś pieniącą się substancję. Nad wszystkim płynęły obłoki z krwistymi piętnami, gdyż słońce przygotowywało się do zniknięcia z horyzontu.

— Katia, mamy gościa! — zawołał pan Aleksander. — To moja żona! Co prawda, nieślubna, ale lepsza niż ślubna. — Pan Aleksander używał dwóch języków, rosyjskiego ze względu na młodą i sympatyczną z wyglądu kobietę, polskiego ze względu na Antoniego. Wypełzł na czworakach zza perkalikowej kotary, za którą prawdopodobnie znajdowały się łóżka, synek. — Nie wiadomo czy będzie umiał po polsku, ale nazywa się Staś. Tak na imię było memu ojcu. — Pan Aleksander wziął z półki piernika i dał małemu do gryzienia.

Katia widocznie była przyzwyczajona do częstych gości, gdyż wkrótce pojawiła się wódka, graniaste szklaneczki, jajecznica na słoninie, małosolne ogórki.

— A więc za nasze zdrowie! — zadziornie zawołał pan Aleksander, który zdążył podpić nieco wcześniej. — Tobie Antoni, a mnie wiesz jak... Sasza! Jesteśmy rodakami i mówmy sobie po imieniu. — Choć Katarzyna się wzbraniała, jedną szklaneczkę również musiała wychylić. Niezbyt dobrze udawała, że ją to bawi. A potem zabrała z sobą Stasia, uznając swoją obecność za zbędną, i przez sień poszła do sąsiadów.

Antoni pił skąpo, Sasza na niego nie nalegał, przestrzegał jedynie, aby za każdym razem, przed wychyleniem kolejnej szklaneczki, tradycyjnie stuknąć się szkłem.

Powoli Saszę zaczął opuszczać dobry humor, w miarę picia, może ze względu na towarzystwo Antoniego, zaczął wpadać w nastrój smutny.

— Po co mam wracać? Chłopi mnie wydali w ręce żandarmów. Za poduszczeniem swego pana odwieźli mnie do powiatu. To co? Dla kogo, Antoś, narażaliśmy się?

— Ciemni są, czy to ich wina?

— A czy moja?

— Trzeba zniweczyć złą spuściznę naszych dziejów!

— Zniweczyć, zniweczyć... Dziadowie kraj oddali w niewolę, a my co teraz możemy zrobić? Wszyscy spodziewali się, że po śmierci Mikołaja będzie lepiej. Odczułeś to?

— Ja? Skądże!

— Tu też nikt tego nie odczuł. Obecnego stanu rzeczy nie lubią, ale przeciwko carowi nie powstają. Jak wybuchła wojna krymska, to zaczęli mówić, że „zbuntowali się Turki, Francuzy i Anglicy przeciwko naszemu carowi"! Takie tu oni mają pojęcia. A już do kozaków to nie przystępuj bez kija!

— Bo też to są ludzie prości, choć na ogół dobrzy...

— Dobrzy! — przytaknął Sasza. — I dlatego stąd się nigdzie nie ruszam. Odcierpiałem za błędy dziadów i wystarczy. Teraz mam prawo do swojego życia!

— Naprawdę nie myślisz o powrocie?

— Po co! Nikt tam na mnie nie czeka. A tu mam dobre zarobki, mam Katię, mam Stasia. Jak Bóg da, to będę mieć i Wiktorię na pamiątkę, że moja matka tak się nazywała...

Saszy powodziłoby się może nawet bardzo dobrze, gdyby nie to, że pił. Był zręczny i umiejętny, zajmował się budowaniem domów, uchodził za dobrego majstra ciesielskiego, choć był samoukiem, nauczyły go tego zawodu okoliczności. Jeden dom zbudował nawet na podobieństwo dworku (Antoni kiedyś go oglądał nie bez wzruszenia), ale nie wszystkim to się podobało, więc stawiał domy podobne do tutejszych, tyle że przestronniejsze i wygodniejsze...

Choć Saszy nikt nie zachęcał, pił dużo. Dwukrotnie wpadała Katia, kobieta o niebieskich oczach i jasnych włosach, aby zorientować się w sytuacji, której przebieg, niestety, dobrze znała. Aleksander zgodnie z tutejszym nawykiem pijał zapojem, po kilka dni z rzędu. Wtedy nie było co mówić o pracy. Mimo iż nie miał czterdziestki, policzki były pocętkowane, włosy rzedły, po obu stronach nad wysokim czołem łysiał coraz wyraźniej.

Zaczynał wracać do tego samego przedmiotu wynurzeń.

— Nie myśl, że nie czuję się Polakiem. Dlatego żyję bez ślubu, że nie chcę, aby Staś był prawosławny.

— Nie myślę...

Aleksander wstał, pochylił się nad podłogą, z szuflady szafy wyjął kilka polskich książek. Położył je na stole. — Patrz, mam nawet „Pana Tadeusza"! Ale jak do niego zajrzę to jeszcze więcej chce mi się pić. Taaak! Znasz tę książkę?

— Znam tylko niektóre ustępy.

— On miał przynajmniej jedną swoją wiosnę! A ja? A ty? — Aleksander zaczął recytować, wymawiając jeszcze wcale wyraźnie:

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu...
I ani jednej wiosny nie miałem w mym życiu!

— At, co tam! Ciemno się robi! — machnął ręką, zasumowany pozbierał książki i wrzucił je do szuflady, zatrzasnął drzwi szafy.

Burian się wzmagał, piasek przedostawał się przez szczeliny do izby. Katia zapaliła łojówkę, która zaczęła skwierczeć i parskać, nim się na dobre rozjarzyła, doprowadzając do równowagi płomyczek.

Sasza zaczął się powtarzać, obejmował przy tym Katię, którą raczej krępował przypływ pijackiej czułości i rozżalenia.

— Ona też nie chce, żeby nasze dzieci były prawosławne!... Tu zresztą pełno nieślubnych dzieci, żadnej panny to nie hańbi.

— Aleksander usiadł, wrócił do tematu, który był tylko dla nich:

— Spójrz na łojówkę!

— Widzę ją przez cały czas!

— I co? Nic ci ona nie przypomina?

— Nic.

— To my z tobą byliśmy jak te skwierczące łojówki! A cóż znaczą łojówki w niezmierzonej nocy caratu?!

— Ale noc jest dla sów! To mądre ptaki. Umieją żyć nocą.

Aleksander nie zrozumiał tej przenośni. A na jej wyjaśnienie nie było czasu, gdyż drzwi się otwarły i weszli dwaj nowi goście, Rosjanie. Przynieśli ze sobą aż trzy sztofy wódki. Jeden był napoczęty wcześniej i gdzie indziej.

(Z książki „Sęp Sybiru", która wkrótce ukaże się nakł. Wydawnictwa Łódzkiego).

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

SPOKÓJ

Fiolet skłaniającej się zorzy.
Skrzydła jasności legły na powierzchni morza.
Fala daleki żagiel kołysze.
Końce promieni przeszły między nieruchomymi liśćmi palm
i opadły na rozkwitłe wigadie.
Przejrzysta woda,
widać małże leżące na dnie.
Wiew srebrzysty tchnie od błękitnych zatok,
od perły niebnej bez skazy, bez kreski.
Luciole unoszą granatowo mieniące się ogniki
nad kwiatami turkusowymi od zmierzchu
i cały świat jest niebieski.

Pierwsze przez rzęsy drżą gwiazdy świeliste-zielone,
dwie róże powiewem zbliżone,
dwie ważki w locie,
dwie fale lekkim połączone mostem.
Nad ogrodem gasnących blasków
luciole polatują spokojnie
przyświecając latarenkami wieczoru.
Śródziemnego morza toń
jak na oczy położone dłonie.

WIDOKÓWKA Z PODRÓŻY

Jest kastel.
Stoi w górach na zielonym szczycie.
Na zboczach wiszą cytryn laski złotobrzeżne,
winnice, pomarańcze i oliwne drzewa,
smugą bieli na stokach dzwonią owce śnieżne,
mgła wielobarwna z skalnych źródeł się rozwiewa.
W dolinie, jakby bukiet rzucony, upalny,
jarzące się zielenią daktylowe palmy.
U podnóża jest morze, ułamany pierścień,
i morze za zwierciadło leży kastelowi,
rozbija, potem spaja faliste obręcze,
że kastel się jak łódka śród morza różowi.

Do niego wiedzie wąwóz, którego dnem płynie
woniejący nurt kwiatów. Przez środek ciecze
sznur strumienia i szumi przezroczystym deszczem.
Nad nim, zda się, rośliny i kwiaty Sycylii
wędrują nieprzebranie do wyniosłej willi.
Z tego wąwozu widać kastel jak na dłoni,
rzekłbyś, że się na różach wspiera i unosi,
na różach, które strumień nieustannie rosi.
Myślę: tu chyba miała świątynię Minerwa.
Czasem w kropel różańcu uczyni się przerwa,
jakby nurt nasłuchiwał albo szukał śladu
pośród zawiłych ścieżek różowego ślazu.
Po czym do swego znowu powraca opadu.

Słucham spadającego muzycznie strumienia,
brzęczy niby do ucha przyłożona muszla.
Czasem żwir się nieznacznie pod falą porusza
albo powiew polotny na trawach szeleści —
podobny jest do dobrej, nadchodzącej wieści.

JAN KOPROWSKI

„Ludzie i rzeczy"

Helena Duninówna, warszawianka, po roku 1945 osiedlona w Łodzi, wydała już co najmniej kilka książek wspomnień, a ponadto przyswoiła językowi polskiemu legendarny „Dziennik" Marii Baszkircew. Całkiem niedawno ukazała się jej kolejna pozycja wspomnieniowa pt. „Ludzie i rzeczy". Czytelnikom, którzy śledzą moje felietony o nowościach wydawniczych, wiadomo, że przepadam za literaturą pamiętnikarską. Uważałem i uważam, że jest to doskonałe źródło poznania epoki, autora i jego środowiska, życia w dniu powszednim. Oczywiście pod jednym warunkiem: jeśli autor z obfitości przeżyć potrafi wydobyć i wyłuskać sprawy najbardziej charakterystyczne i znamienne oraz jeśli jest w stanie właściwie je usytuować i ocenić. A nie zawsze tak bywa. Po pierwsze dlatego, że pamięć ludzka jest zawodna, a po drugie — że spisujący wspomnienia zabarwia wszystko subiektywnym, często nie wolnym od zacietrzewienia widzeniem.

Cechą rzucającą się w oczy we wspomnieniach Duninówny jest kult szczegółu, miłość opisywanego drobiazgu, który tym jest droższy, im w dalszej i głębszej pogrążony przeszłości. Widać to zwłaszcza w drugiej części książki pn. „Rzeczy", gdzie autorka z lubością odtwarza kształt i barwę przedmiotów, tak ważnych w latach jej dzieciństwa i młodości. Raz będzie to posążek, kiedy indziej szkatułka lub obraz wiszący przez lata w domu rodzinnym. Człowiek potrzebuje do życia nie tylko innych ludzi, potrzebuje także rzeczy, którymi się otacza, które kształtują klimat i atmosferę jego mieszkania.

Dla czytelnika jednak, przynajmniej dla takiego czytelnika jak ja, ważniejsza jest część pierwsza wspomnień Duninówny pn. „Ludzie". Pisarka wyławia z pamięci pisarzy, artystów, dziennikarzy, których znała osobiście lub których pamiętała z dzieciństwa, gdy bywali w domu jej rodziców. Oprócz nazwisk znanych (Osterwa, Kaden-Bandrowski), przeważają nazwiska nieznane: zapomnianego poety, zapomnianego polonisty, zapomnianej aktorki. A wszystko to owiane nutą sentymentu, mgłą odległego wspomnienia, urokiem przelotnej chwili. Większość kreślonych sylwetek odnosi się do lat sprzed pierwszej wojny światowej, a nawet jeszcze wcześniej. Nie było Polski niepodległej, nie wszyscy umieli sobie nawet wyobrazić, jaki ta niepodległość, jeśli kiedyś nadejdzie, przybierze charakter. Inny panował wtedy obyczaj, inny styl życia, inne konwencje towarzyskie. Jesteśmy wraz z Heleną Duninówną w salonie, w teatrze, na koncercie, przysłuchujemy się prowadzonym rozmowom, podpatrujemy postępki i zachowania ludzkie. Jedynie z rzadka sięga autorka do czasów najnowszych, już po drugiej wojnie światowej. We wspomnieniu „Wieczory autorskie" ma okazję pokazać Władysława Broniewskiego, z którym organizatorzy miewali często nie lada kłopoty. Ale Broniewski zawsze z tych kłopotów wychodził zwycięsko. Był to nie tylko świetny poeta, także świetny recytator, mówiący swoje wiersze z pamięci, co wśród polskich poetów należy do wielkiej rzadkości.

Więc co powiedzieć o wspomnieniach Heleny Duninówny? Jest to z pewnością książka miła i sympatyczna, napisana ładną polszczyzną, z wdziękiem i kobiecą delikatnością. Czyta się „Ludzi i rzeczy" łatwo, powiedziałbym nawet z życzliwością dla autorki. Ale po lekturze książki czujemy pewien niedosyt. Brak tym wspomnieniom czegoś bardzo istotnego. Brak zarówno siły uogólniającej, jak i owego subiektywizmu, który — choć feruje niekiedy wyroki niesłuszne i stronnicze — sprawia, że człowiek „pożera" książkę z pasją i zaangażowaniem. Powiedzmy, dla przykładu, że subiektywizm Cata-Mackiewicza był niekiedy wręcz nieznośny, ale jak się go czytało! Książka Heleny Duninówny nie posiada ani wielkiej siły dramatycznej, ani przejmującego liryzmu. Nie wciąga nas i nie angażuje na tyle, aby afirmować ją z entuzjazmem, czy odrzucać z gniewem. Godzimy się na nią ze spokojem, podoba nam się, rozrzewnia i wzrusza. To dobrze, ale to jeszcze za mało. Chciałoby się znacznie więcej. Może zresztą nie mam racji. Jeśli tak, niechaj mi czytelnicy i autorka wybaczą.

Helena Duninówna: „Ludzie i rzeczy", Wyd. Łódzkie, str. 235, rok 1968, cena: zł 15.—

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan B. Ożóg — „Mury", Wydawnictwo Literackie, cena zł 15.

Witold Wirpsza — „Traktat skłamany", Wydawnictwo Literackie, cena zł 15.

Bronisława Ostrowska — Wiersze. „Poeci polscy", Czytelnik, cena zł 10.

Wincenty Burek — „Droga przez wieś", LSW, cena zł 15.

Listy Juliusza Osterwy, PIW, cena zł 50.

Władysław Bąk — „Spowiedź", „Iskry", cena zł 10.

Jalu Kurek — „Ofelia" Wydawnictwo Lubelskie, cena zł 10.

Fot. Fr. Myszkowski

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Bananowa historia

Patrząc na „Aszantkę" Perzyńskiego wystawioną przez Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej doznajemy zmiennych uczuć: zdziwienia i obojętności; zdziwienia, że materia komediowa tego utworu, napisanego, względnie, wystawionego 62 lata temu, tak szybko zwietrzała w porównaniu choćby z komediami Bałuckiego czy Zapolskiej; i obojętności, gdyż nie wzruszają nas i nie obchodzą ani trochę losy złotego młodzieńca, Łońskiego młodego obywatela ziemskiego, który dla „demonicznej" Aszantki przepuścił rodowe włości i w końcu strzelił sobie w łeb. Wprawdzie, podobno „Aszantka" była napisana na „zamówienie społeczne" ówczesnego bankrutującego ziemiaństwa, względnie, tych jego kręgów, które roztrwaniały i puszczały majątki na Rivierze, w Monte Carlo lub w kasynach gry w Baden-Baden itp. Miała więc być ostrzeżeniem. Możliwe. My jednak dziś mamy inne kłopoty, własne, z „bananową" młodzieżą, która nie sieje ani orząc, żyje sobie wcale nieźle, czerpiąc pieniążki z kieszeni tatusiów, uprawia autostop, bryluje na plażach i w uzdrowiskach z superradioodbiornikami i podrywa dziewczyny.

Historyk literatury Marian Szyjkowski pisze w „Dziejach komedii polskiej", że Perzyński przeprowadza w „Aszantce" drobiazgową analizę procesu zniszczenia, jakie rozsiewa dokoła siebie dziewczyna z wielkomiejskich suteren, przeobrażona w końcu na damę z półświatka, ale szanowny profesor napisał to w roku 1921, a więc, jakbyśmy dziś powiedzieli, było to pisane dawno i z przesadą. Uderza mnie natomiast co innego, a mianowicie to, że świetna komedia Perzyńskiego „Lekkomyślna siostra" ukazała się na scenie w 1904 roku, „Aszantka" w 1906 roku, zaś nie mniej świetne od „Lekkomyślnej siostry" — „Szczęście Frania" w 1909 roku. Sprawdzałby się więc na tym przykładzie mit krążący w środowiskach literackich, że debiut bywa znakomity, podczas gdy następny, drugi utwór — słabszy, i dopiero w trzecim dziele utalentowany autor pokazuje znów pazury lwa.

Co prawda, Boy-Mędrzec twierdzi, że „Aszantka" jest jedną z najlepszych komedii Perzyńskiego, że pisana była z poczuciem sceny, i nie śmiem polemizować z Mędrcem, autorem „Flirtu z Melpomeną". Ale jednocześnie tenże Boy dodaje, „iż utwory teatralne, kryjące w sobie bodaj odrobinę problemu społecznego zmieniają fizjonomię zależnie od nastroju dnia". A cóż dopiero — chciałoby się dodać — zależnie od upływu czasu, przemian społecznych itp., o czym wspominałem na początku.

Chciałoby się również zapytać, dlaczego Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej wziął na warsztat właśnie „Aszantkę"? Tajemnica polega chyba na tym, że mało który teatr posiada tyle trudności z wyborem sztuk do grania, jak właśnie Teatr Ziemi Łódzkiej. Ani ze „Snem srebrnym Salomei" ani z „Tkaczami", ani tym bardziej, ze sztukami Ionesco, Pintera czy Mrożka teatr ten jeździć w teren nie może. A z dotychczasowych spektakli widać, że dyrekcja nie chce — i słusznie — zrezygnować z ambitnego planowania repertuaru i nie chce raczyć widzów w terenie „Żołnierzem Królowej Madagaskaru" czy farsami w rodzaju „Pan naczelnik, to ja" itp.

Można przypuszczać, zresztą, że „Aszantka" będzie się podobała, a i nawet wzruszała naszą publiczność wsi i miast.

Scenografia Antoniego Bystronia trochę pod modną dzisiaj secesję (co się zgadza z rokiem powstania utworu) interesująca. Reżyseria Sławomira Matczaka przyspieszyła tempo komedii i skreślając scenę w ostatnim akcie uniknęła dłużyzn. Bohater sztuki, Łoński, wydaje się nam — zwłaszcza dziś, w zestawieniu z „bananową" młodzieżą — melodramatyczny i trochę papierowy. Bohdan Juszczyk zrobił wszystko co można, żeby ożywić tę tak niedzisiejszą postać kochanka zgubionego przez kobietę. Jest przecież w „Aszantce" pięć znakomicie napisanych przez Perzyńskiego ról: baron Kręcki, kelner Franek, Pan Dyrektor, Władka i Viola. Dobrze utrafił w styl pseudo-barona Kręckiego Marian Harasimowicz, grający z przymrużeniem oka. Każdy widz zrozumie, że ten warszawski baron to arystokrata spod gwoździa. Henryk Dudziński potrafił przekazać bez szarży cechy Pana Dyrektora, który „chciałby a boi się". Aszantka jest wielką rolą, w której pospolitość umysłu i serca warszawskiej dziewczyny ulicznej musi kojarzyć się z drażniącym urokiem wyrafinowanej powierzchowności. Małgorzata Kozłowska wydobyła z roli brutalną pospolitość bez piękna kwiatu, który wyrósł na bagnie. Bliższa tej osobliwej moral insanity, charakterystycznej dla dawnej obyczajowości warszawskich kokot sprzed pół wieku, jak widział je Perzyński, była Jadwiga Derżyńska w roli Violi. Wreszcie, kelner Franciszek, obieżyświat i „kosmopolita", był już nazbyt prosty i pospolity. Patrząc na aktora grającego Franka myślałem, co potrafiłby zrobić z tej roli Kazimierz Rudzki.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Tropami legendy

Tom opowieści Tadeusza Szewery, zatytułowany: „O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta", ukazał się niedawno, raptem miesiąc temu, a już składnica księgarska sygnalizuje wyczerpanie nakładu. Myślę, że na ten niewątpliwy już dzisiaj sukces czytelniczy Szewera rzetelnie sobie zasłużył. Opowieść ma w naszej literaturze dość długą tradycję, jest lubiana, zresztą nie bez oczywistych powodów. Pisarz obraca się tu w świecie konkretnych wydarzeń, a równocześnie ucieka z nimi w świat fikcji, fantazjuje na temat żyjących ongiś ludzi i perypetii, które przeżyli. Nie taka to znowu łatwa sztuka — trzymać się i odchodzić od prawdy w sposób przekonywający.

„Jestem jedynie poszukiwaczem amatorem — powiada skromnie Szewera — tropię dorywczo ślady legendy po miastach i miasteczkach. Pobędę tydzień, dwa na miejscu, poszperam w archiwach i bibliotekach, posłucham opowieści miejscowych gawędziarzy i już mnie nie ma. Potem pociągnie mnie nowa postać, nowa legenda".

Święta prawda, tyle tylko, że Szewera tropi ślady legendy w sposób przekorny, stawia bez przerwy pytania — może to było tak, a może inaczej? Człowiek czyta i jakoś doprawdy mimo woli wciąga się w uroczą zabawę. Uczy się, poznaje niezwykłe postacie, zdarzenia sprzed lat, powtarza za autorem pytania — może tak, a może inaczej, wreszcie — nie wiadomo kiedy — sam zaczyna szukać odpowiedzi. Niemal w każdej ze swych opowieści zadaje Szewera swojemu czytelnikowi jakąś zagadkę do rozwiązania. Pod tym względem najbardziej pasjonująca wydaje mi się opowieść pt.: „Kamienny kosynier i francuski pułkownik". Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: niedaleko Nieborowa, obok wsi Kołacinek, spoczywają na wiejskim cmentarzu powstańcy z roku 1863, którzy polegli w bitwie pod Wolą Cyrusową. Tablicę pamiątkową ze znanymi poległymi otwiera trzydziestosześcioletni pułkownik francuski Paul Ganier d'Abin, jeden z waleczniejszych dowódców, z tych co to za waszą i za naszą. Jeżeli jednak zginął tu, na ziemi łódzkiej, jakimże cudem mógł później zostać prezydentem republiki San Domingo po krwawym zresztą zamachu stanu? Zmartwychwstał? Takie właśnie pytania stawia nam bez przerwy, niemal przy okazji każdej opowieści Tadeusz Szewera. Czy Szekspir pożyczył sobie do swojej „Legendy zimowej" krwawy wątek z dziejów dawnych naszej łódzkiej Rawy Mazowieckiej, skąd czarny lew w opactwie sulejowskim, itd., itd.

Przebywamy więc podczas lektury w kręgu pouczającej, uroczej zabawy. Jest to wszakże zabawa bardzo polska. Ta właśnie polskość sprawia, że czytając doznajemy wrażenia czegoś serdecznego, swojskiego, jakbyśmy zawędrowali do starego domu ojców, domu pełnego zakamarków, a w każdym z nich inna legenda. Szewera umie grzebać w tych zakamarkach, umie — co więcej — uważnie słuchać ludzi, szanuje słowo, które słyszy, ceni sobie wysoko jesienne wieczory w starym polskim domu, kiedy to starzy próbują odmłodzić gasnącą już pamięć, kiedy — być może — już raz ostatni mówią o dawnych sprawach.

To co Szewera usłyszał od ludzi, stara się zawsze poddeprzeć sprawdzianami bardziej uchwytnymi niż pamięć, grzebie więc po archiwach, buszuje księżom w aktach parafialnych, lecz stale przebywa w gruncie rzeczy na terenie starego polskiego domu. Wszystkie postacie, i te prawdziwe i te z ludowej fantazji, doskonale mieszczą się w naszej ludowej i historycznej tradycji. W tej serii sylwetek na wskroś polskich zwraca uwagę opowieść pod tytułem — „Joanna w żołnierskim mundurze", doprawdy niezwykła historia Joanny Żubrowej, markietanki wojsk polskich epoki napoleońskiej, wsławionej przy zdobywaniu Zamościa na Austriakach, znana i z tego, że nawet mężczyzn wzywała na pojedynki.

Myślę, że Szewerze przyświecał podczas pisania jeszcze jeden cel. Chodziło mu o coś więcej niż wciągnięcie czytelnika w pasjonującą zabawę w bardzo polskim guście. Chciał udowodnić jak ciekawa, pociągająca może być historia, ta właśnie pozornie zwykła, daleka od czołowych nazwisk, prowincjonalna, z zapadłego partykularza, lecz zaskakująca niezwykłymi sytuacjami i charakterami. Nigdy doprawdy nie wiadomo, czyje życie było w ostatecznym rachunku ciekawsze, które zachowania bardziej wzruszające, ludzkie — marszałka wielkiej armii Napoleona, czy też zwykłej markietanki. Szewera odpowiada i na to pytanie, jego tom stanowi pochwałę tzw. małej historii i fakt ten z pewnością zbliża książkę do czytelnika.

Tadeusz Szewera — „O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta", Wydawnictwo Łódzkie, 1968.

PIER PAOLO PASOLINI

O kinie i filmach

W lutowym numerze „Miesięcznika Literackiego" ukazał się artykuł Jerzego Kosaka pt. „Zrozumieć Pasoliniego". Autor stara się w sposób, wprawdzie nieco fragmentaryczny (artykuł nosi zresztą usprawiedliwiający podtytuł — „Notatki") scharakteryzować postawę Pasoliniego jako teoretyka filmu i apostoła nowego kina. Prawie u nas nieznany (oglądaliśmy tylko „Włóczykija") — poeta, pisarz, filmowiec, krytyk i teoretyk — Pier Paolo Pasolini jest pierwszoplanową postacią na arenie życia artystycznego współczesnych Włoch. Jego sława wykracza znacznie poza granice własnej ojczyzny. Zwalczany i uwielbiany zarazem, jest czymś w rodzaju trybuna międzynarodowej awangardy, prorokiem głoszacym nowe, a tak pożądane przez artystyczną młódź, objawienia. Jako marksista nieustannie walczy z wszelkimi objawami konformizmu i oportunizmu w dziedzinie ideologii i sztuki. Czasopismo „Film — Krytyka — Dyskusje" opublikowało esej Pasoliniego „Film poetycki". We wspomnianym numerze „Miesięcznika Literackiego" znajdujemy tekst referatu wygłoszonego przezeń w Pesaro: „Strach przed naturalizmem". Pozwalamy sobie przytoczyć fragmenty wypowiedzi Pasoliniego zawarte w wywiadzie udzielonym przezeń włoskiemu kwartalnikowi „Cinema e Film". Precyzują one w sposób bardziej klarowny poglądy teoretyczne włoskiego reżysera. Czytając je, nie zapominajmy, iż są to rozważania teoretyczne poety, ale może teorią sztuki powinni się zajmować właśnie poeci.

* * *

Znamy tylko różne „wypowiedzi" (paroles), nie znamy „systemu językowego" (la langue), a raczej poznajemy system językowy dzięki konkretnym doświadczeniom rozmaitych wypowiedzi, czyli metodą dedukcyjną. System językowy, jest zatem abstrakcją, ale abstrakcją konkretną, bo będącą zarazem rzeczywistością określonego kodu i gramatyki, czyli przedmiotem badań, ustalonym przy pomocy badań. O ile analizując ludzi trudno dociec czym jest „ludzkość", a z wierszy trudno się raczej dowiedzieć czym jest „poezja" — w lingwistyce dzieje się na odwrót. Wiemy znacznie więcej o naturze systemu językowego niż o konkretnych wypowiedziach. W tych ostatnich dominuje bowiem tajemnica aktu twórczego. (...)

W dziedzinie lingwistyki filmowej nie dokonano jeszcze tego zabiegu, nie wyprowadzono, nie wyabstrahowano systemu „kina" (cinema) z poszczególnych „filmów". Znamy „filmy" (jak znamy ludzi i wiersze), ale nie znamy „kina" (jak nie znamy ludzkości i poezji). Wiemy co najwyżej czym jest kino-przemysł, albo kino-zjawisko społeczne. Studia nad naturą kina zaczęły się dopiero niedawno. (...)

Moje próby wyprowadzenia lingwistycznej definicji „kina" z poszczególnych „filmów" — przez analogię do „systemu językowego" i „wypowiedzi" — nie oznaczają chęci uogólnienia mojej estetyki, mojej własnej poetyki filmowej. Są one ściśle — w sposób złożony i głęboki — związane z moim widzeniem rzeczywistości i jej interpretacją, nie jestem filozofem ale rzekłbym — nawet z moją filozofią.

Określiłem kino jako „zapisany język działania". Chciałem przez to powiedzieć, że rzeczywistość jest kinem w naturze (ja jestem kadrem dla ciebie, ty jesteś kadrem dla mnie itd.) To kino w naturze, czyli rzeczywistość — jest w istocie pewnym językiem, sposobem wypowiedzi (trzeba uprawiać semiologię rzeczywistości — oto hasło, które powtarzam sobie od miesięcy), na kształt mowy ludzkiej. Kino, jako reprodukcja rzeczywistości jest więc jej zapisem.

Fakt, iż kino jest „zapisanym językiem rzeczywistości" (która przejawia się zawsze w działaniu) oznacza, iż nie jest ono ani arbitralne ani symboliczne i że przedstawia rzeczywistość za pośrednictwem rzeczywistości. Konkretnie, za pośrednictwem obiektów rzeczywistości, które kamera reprodukuje (stąd moja lingwistyczna definicja „kinemów"). I w tym momencie wyraźna staje się więź łącząca moje określenie kina z moją filozofią życiową, którą sprowadzić można do obsesyjnej, infantylnej, pragmatycznej miłości do rzeczywistości. (...)

Rzeczywistość jest ciągła i nieskończona, ale idealna kamera może ją zawsze zreprodukować w jej nieskończoności i ciągłości. Kino, jako pojęcie pierwotne i archetypiczne, jest zatem ciągłym i nieskończonym planem-sekwencją. (...)

U źródeł wszystkiego leży moja miłość do rzeczywistości. Wyrażona w terminologii lingwistycznej każe mi ona twierdzić, że kino jest systemem językowym, który nigdy nie odbiega od rzeczywistości (jest jej reprodukcją) a zatem jest nieskończonym planem-sekwencją. Ten plan-sekwencja stanowi nieprzerwany ciąg kadrów. Monemem kina jest więc to co w terminologii technicznej określa się mianem kadru. Kadr stanowi jednostkę podstawową, jest kompozycją obiektów, które przez analogię do fonemów, nazywam „kinemami".

Moja koncepcja kina jako systemu językowego oznacza tedy traktowanie go, jako nieprzerwanej i ciągłej jak rzeczywistość reprodukcji rzeczywistości. (...)

Przejdźmy teraz do poetyki, do stylu, do konkretnych zagadnień realizacji filmu. W moich filmach plan — sekwencja praktycznie nie istnieje. Albo jest taki krótki jak trwanie pojedynczego działania. Nie obejmuje nigdy szeregu działań. Czy wyłania się tu sprzeczność z moją koncepcją teoretyczną kina? Oczywiście. Ale sprzeczności, jak wiadomo, są zawsze pozorne.

W istocie, ta sama niepohamowana miłość do rzeczywistości, która wyłożona w terminologii lingwistycznej każe mi widzieć kino jako ciągłą reprodukcję rzeczywistości; wyłożona w terminach ekspresji każe mi się zatrzymywać przed rozmaitymi aspektami rzeczywistości (twarz, pejzaż, gest, przedmiot), jak gdyby były one nieruchome i izolowane w przepływie czasu. Reasumując, koncepcja kina jako nieskończonego i ciągłego planusekwencji nie ma w sobie nic naturalistycznego. Wprost przeciwnie. Natomiast konkretny plan-sekwencja w ramach poszczególnych dzieł filmowych jest zabiegiem naturalistycznym. Dlatego go unikam — ponieważ jest naturalistyczny, a zatem naturalny. Moja fetyszystyczna miłość do „rzeczy" świata nie pozwala mi traktować ich jako naturalne. Albo je uświęcam, albo odzieram ze świętości w sposób gwałtowny. (...)

W moim kinie plan-sekwencja został całkowicie zastąpiony przez montaż. Otóż różnica pomiędzy kinem a dziełem filmowym polega właśnie na tym, że kino ma analityczną linearność nieskończonego i ciągłego planu-sekwencji, podczas gdy dzieła filmowe mają linearność potencjalnie nieskończoną i ciągłą, ale syntetyczną. Są twórcy, którzy z racji swej dobrodusznej i naturalistycznej miłości do „rzeczy", starają się odtworzyć w swych filmach linearność analityczną w czasie możliwie najbardziej zbliżonym do rzeczywistego. Inni zaś są zwolennikami montażu, który czyni ową linearność syntetyczną. Ja należę do tej drugiej kategorii. (...)

Kino jako „zapisany język rzeczywistości" ma prawdopodobnie (i przyszłość to zapewne jeszcze lepiej pokaże) takie same rewolucyjne znaczenie jak ongiś wynalazek pisma. Pismo pozwoliło „objawić" człowiekowi czym jest jego mowa. Był to z pewnością pierwszy skok naprzód w zdobyciu nowej świadomości kulturalnej przez człowieka. Drugi moment przełomowy, to opisywany przez Benvenuto Terracini („Konflikty języka i kultury") w polemice z De Saussure, moment dojrzewania myśli, która w mowie istnieje w sposób „naturalny", w piśmie zaś w sposób „świadomy". (...) Taki sam rewolucyjny charakter, ale tym razem w stosunku do rzeczywistości posiada wynalazek kina. Język rzeczywistości, dopóki był „naturalny" istniał poza naszą świadomością, teraz kiedy dzięki kinu występuje w postaci „pisanej" nie może obyć się bez udziału naszej świadomości. Kino czyli „zapisany język rzeczywistości" pozwoli nam przede wszystkim dowiedzieć się, czym jest język samej rzeczywistości. Zmodyfikuje zapewne nasze na nią poglądy, czyniąc nasz fizyczny kontakt z rzeczywistością kontaktem kulturowym.

Oprac. M. KORNATOWSKA

TELE OBIEKTYW

Dzieci telewizyjne

Nie wymyśliłem tego określenia. Powtarzam je za Marshallem McLuhanem, dyrektorem ośrodka badania wpływu techniki na kulturę przy uniwersytecie w Toronto, którego dłuższy artykuł o telewizji drukowało w ubiegłym miesiącu krakowskie „Życie Literackie".

A więc nowe pojęcie: dzieci telewizyjne.

Czy chcemy, czy nie chcemy, czy nam się to podoba, czy nie, nasze dzieci znajdują się pod przemożnym wpływem telewizji, która w dużej mierze kształtuje ich umysłowość. Dopiero stwierdziwszy ten niezaprzeczalny fakt, możemy zastanawiać się nad jego pozytywnymi i negatywnymi konsekwencjami.

Telewizyjne dziecko, a więc dziecko rozwijające się w cieniu telewizora, zdobywa na ogół znacznie wiekszy zasób różnorodnych wiadomości o współczesnym świecie, niż posiadał jego rówieśnik w dobie przedtelewizyjnej. Już pięcio- czy sześcioletni brzdąc operuje swobodnie skomplikowanymi terminami z zakresu geografii, zna nazwiska mężów stanu i potrafi ich umiejscowić, nieobcy jest mu świat rakiet, satelitów i pojazdów kosmicznych.

Nie znaczy to oczywiście, że dziecko telewizyjne zjadło wszystkie rozumy. Brak mu do tego odpowiednich podstaw teoretycznych. Zanim je jednak posiądzie w szkole czy na uczelni, już nasiąka atmosferą współczesnego świata w jego złożoności.

Telewizja nie jest — tak mi się przynajmniej zdaje — najlepszą transmisją wiedzy szczegółowej, wycinkowej. Wykłady Politechniki TV uważam raczej za formę przejściową, zastępczą, próbującą pokryć olbrzymie zapotrzebowanie na wiedzę techniczną w naszym kraju.

Natomiast telewizja w sposób znakomity integruje wiedzę, daje zakosztować jej wysublimowanego smaku, nastraja psychicznie do przyswajania jej, reorganizuje tradycyjna wyobraźnię zgodnie z wymogami współczesności. Dokonuje zaś tego dzięki wszechstronnemu oddziaływaniu różnorodnymi wrażeniami zmysłowymi.

Wspomniany przeze mnie McLuhan zwraca uwagę na szczególną cechę telewizji, jaką jest głębokie angażowanie widza. Telewizji nie da się oglądać tak, jak się słucha radia, tworząc sobie rodzaj tła akustycznego dla innych zajęć, np. dla czytania książki. Telewizję albo się ogląda z uwagą, albo jej się nie ogląda wcale.

McLuhan opisuje doświadczenie, jakiego dokonano w Toronto z czterema grupami studentów. Każdej z grup przekazano określoną sumę informacji ze skomplikowanej dziedziny wiedzy. Środek przekazu zastosowano jednak wobec każdej grupy inny: wykład telewizyjny, pogadanka radiowa, bezpośrednia prelekcja i lektura skryptu. Okazało się, że najwięcej informacji przyswoiła sobie grupa telewizyjna.

Doświadczenie to, zdaniem kanadyjskiego znawcy zagadnienia, potwierdziło tezę, że telewizja oddziałuje w sposób silnie angażujący. Stąd też zapewne wielki wpływ jej na kształtowanie osobowości dziecięcej.

Nie bądźmy jednak jednostronni! Pod adresem telewizyjnego wychowania wysuwane są także poważne zarzuty. Najliczniejsze z nich dotyczą tego, że dzieci telewizyjne pozbawione są wyobraźni, że silnie zaangażowane w penetrowanie teraźniejszości, nie myślą o przyszłości.

Istotnie, telewizja nie sprzyja chyba grze wyobraźni. Osoby, przedmioty, dalekie kraje występują na małym ekranie w sposób bardzo konkretny, prawie namacalny. Bohatera popularnej książki z trudem możemy sobie wyobrazić. Dzieli nas od niego papierowa ściana pokryta równymi rządkami druku. Forsujemy ją korzystając z aparatu wyobraźni, ale nigdy nie udaje się to nam do końca. Obraz przez nas ewokowany pozostanie mglisty, zamazany.

Telewizja nie wymaga wspomagania się wyobraźnią. Przekazuje obraz gotowy i jednoznaczny. Do odebrania go potrzebny jest tylko zmysł wzroku.

No, dobrze! Załóżmy, że dzieci telewizyjne mają mniej wygimnastykowaną wyobraźnię! I cóż stąd? Czy jest to równoznaczne z brakiem wrażliwości, uczulenia na piękno, predyspozycji do własnej, twórczości artystycznej?

Z pewnością jest to sprawa indywidualna. Z dzieci telewizyjnych wyrosną telewizyjni ludzie, którzy na pewno nie będą mieli w głowach tych samych powielanych treści. Będą różni. Może tylko łączyć wszystkich będzie przyzwyczajenie do konkretu, mocne osadzenie w realiach życia i... chyba brak zamiłowania do poezji romantycznej.

Kiedy oceniamy rozwój naszych latorośli, zwykliśmy porównywać go do doświadczeń własnego dzieciństwa. Niepokoi nas, gdy dzieci nie przystają do tradycyjnych wzorców, sprawdzonych i spatynowanych.

Powiedzmy sobie wreszcie, że życie biegnie naprzód w sposób nieubłagany. Że wczorajszy model wychowawczy staje się dzisiaj często bezużyteczny.

I nie martwmy się o telewizyjne dzieci! Dadzą sobie radę! Muszą o tyle więcej dowiedzieć się o świecie niż my. Telewizja dopomaga im w tym znakomicie. Nie dziwmy się, że lgną do niej tak spontanicznie i z takim entuzjazmem.

Czytelnikom Tele-obiektywu życzę: wesołego jajka!

Władysław Krowicki

Czyżby prawdziwy mężczyzna?

Jest piękny, wysoki, smagły, o czarnych i wilgotnych oczach człowieka Wschodu. Namiętny i zmysłowy. Uosobienie zalet mężczyzny i kochanka z XIX-wiecznych romansów. Ideał Południa i Wschodu, który zafascynował starą, cyniczną Europę. Mówią o nim — nowy Rudolf Valentino. Kobiety szaleją na jego widok, a producenci filmowi zbijają dzięki temu krociowe fortuny. A imię jego — Omar Sharif. Nie tyle imię ile pseudonim artystyczny, bo naprawdę zowie się Michel Shaloub.

Urodził się w roku 1932 w Kairze, w zamożnej rodzinie kupieckiej. W osiemnastym roku życia postanowił zostać aktorem, a w dwudziestym zadebiutował w filmie. Odtąd stał się najpopularniejszym amantem Egiptu, grając we wstrząsających dramatach miłości, zdrady, zemsty i zazdrości — role patetyczne i retoryczne, właściwe duchowi tamtejszej kinematografii. Ożenił się z najgłośniejszą divą egipskiego kina Faten Hamama i żył spokojnie, a szczęśliwie otoczony uwielbieniem współobywateli oraz morzem pieniędzy.

W roku 1961 znany producent Sam Spiegel postanowił zaangażować go do roli szejka w słynnym filmie „Lawrence z Arabii", gdzie wystąpić miał u boku samego Peter O'Toole. W ten sposób, egipski amant po raz pierwszy w swym życiu dostał się w ręce reżysera z prawdziwego zdarzenia i zagrał w prawdziwym filmie. Furorę zrobił absolutną, mimo iż znalazł się wśród czołówki europejskich i amerykańskich gwiazd. Droga światowej kariery stanęła przed nim otworem. Nie omieszkał tedy z niej skorzystać. Grał w filmach świetnych reżyserów: Leana i Zinnemana Wylera i Rosi, Lumeta i Litvaka. Wystąpił m. in. w „Doktorze Żiwago" i w „Nocy generałów".

W swojej karierze unikał natomiast reżyserów nowofalowych. Nie uznaje bowiem ról nowoczesnych bohaterów, skażonych wpływami dzisiejszej cywilizacji, neurotycznych i nieprzystosowanych. Przedstawiciel Wschodu, wierzy w tradycyjne wartości ludzkie, w integralność i siłę charakteru. „Mówi się dużo — powiada — że pewne uczucia przestały już istnieć, że świat się zmienił. Jestem absolutnie pewien, że uczucia pozostają bez zmiany, że ludzie zmienili się w bardzo niewielkim stopniu... Młodzież dzisiejsza, w gruncie rzeczy doświadcza podobnych uczuć co my. Ubiera się wprawdzie i czesze w sposób odmienny, zachowuje się niemal szokująco, ale jeżeli pokazać jej piękną i tradycyjną historię miłosną, reaguje dokładnie tak samo jak my. Musi to być jednak historia sprawnie zrealizowana. Dzisiejsza młodzież jest technicznie zbyt dobrze przygotowana, by móc akceptować źle robione filmy".

Gardzi cywilizacją technokratów, wyścigowymi samochodami, „nowoczesnym" stylem życia. Kocha konie. Irytuje go nerwowa aktywność Europejczyków i Amerykanów. Woli kontemplacyjny, spokojny tryb życia. Ceni wysoko tradycyjne wschodnie zwyczaje i upodobania, kult snu, masażu, odpoczynku, pielęgnowanie własnej urody. Wozi wszędzie ze sobą własną masażystkę, kosmetyczkę i fryzjerkę — madame Raymonde. Otoczony powszechnym uwielbieniem płci niewieściej, dla której stanowi uosobienie męskiej urody i walorów, szuka oczywiście ideału kobiety, ideału, który by łączył urodę i inteligencję, bierność i wyrozumiałość, mądrość i cierpliwość, słodycz i oddanie. Nie znosi tzw. kobiet nowoczesnych, wyemancypowanych, o męskim sposobie bycia i mentalności. „Prawdziwa kobieta winna siedzieć w domu i kochać dom. Winna być oddana swemu mężczyźnie. Karierą kobiety nie jest praca zawodowa, lecz małżeństwo i dzieci".

Z tym wszystkim jest ponoć bardzo dobrym aktorem, zdyscyplinowanym, poważnie traktującym swój trudny zawód. Pracuje bardzo dużo nad każdą rolą. Nie należy do aktorów-intelektualistów — przeżywa. Stara się absolutnie wcielić w postać. Mówi znany reżyser amerykański Sidney Lumet („12 gniewnych ludzi", „Wzgórze"); „Wielką zaletą Omara jest to, iż pojmuje wszystko w lot. Ma twarz wyrazistą, plastyczną, na której każde uczucie maluje się w sposób żywy i ekspresywny. Jest to twarz prawdziwego bohatera, twarz jaką rzadko dziś można spotkać. Co więcej, jest to także twarz prawdziwego mężczyzny".

Spektakle tygodnia

Teatry

	spektakli	widzów	proc.
WIELKI			
„Tosca"	2	2552	100
NOWY			
„Damy i huzary"	4	2800	100
„Śluby panieńskie"	1	700	100
„Tkacze"	2	1200	75
NOWY			
„Żeglarz"	3	600	100
NOWY — Mała Sala			
„Skiz"	3	500	80
„Szklana menażeria"	1	200	100
POWSZECHNY			
„Radziwiłł, Panie Kochanku"	2	1320	100
„Święta Joanna"	1	600	90
„Tango"	1	660	100
JARACZA (na scenie ROZMAITOŚCI)			
„Apel"	5	3100	95
7.15			
„Mordercy stowarzyszeni"	3	1266	100
OPERETKA			
„Dziękuję ci, Ewo"	6	6116	93

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

POWIEŚĆ BORISA VIANA NA EKRANIE

■ O Borisie Vianie młodo zmarłym przed kilkudziesięciu laty poecie, powieściopisarzu, kompozytorze i wykonawcy piosenek, muzyku, filmowcu, inżynierze-wynalazcy pisaliśmy kilkakrotnie. Ostatnio na ekrany paryskich kin wszedł film nakręcony na podstawie powieści Borisa Viana pt. „l'Ecume des jours" (Piana dni). Chloe, jedną z głównych ról gra 23-letnia Annie Buronfosse.

NIEZNANA POWIEŚĆ HENRY JAMESA WE FRANCJI

■ Nieznana dotąd we Francji powieść Henry Jamesa pt. „Świadomość" ukaże się wkrótce w wydawnictwie Albina Michela. Powieść ta jest mało znana nawet czytelnikowi anglosaskiemu. Po raz pierwszy opublikowana została w roku 1880 w Stanach Zjednoczonych, a następnie dopiero w roku 1921 w Anglii. Przekładu na język francuski dokonała obecnie Denise Van Moppés.

Przypomnijmy, że Henry James, pisarz północnoamerykański urodził się w roku 1843 w Nowym Jorku, zmarł w roku 1916 w Londynie. Był bratem słynnego psychologa Williama Jamesa. Przebywał przeważnie w Europie i w roku 1915 przyjął obywatelstwo brytyjskie. Należał do twórców powieści psychologicznej.

OPIS NUBIJSKIEJ ŚWIĄTYNI

■ Instytut orientalny przy chicagowskim uniwersytecie przygotował wydanie pierwszego opisu nubijskiej świątyni w okolicy Beit-el-Ouali, znajdującej się o 50 km na południe od Assuanu. Świątynia ta pochodzi z czasów panowania Ramzesa II. Wydawnictwo ukazało się w dwóch tomach, z których jeden stanowi album z ilustracjami czarno-białymi i kolorowymi, tom drugi zaś zawiera dokładny opis świątyni.

JAK TO Z TĄ POEZJĄ?

■ W „Le Figaro Littéraire" znajdujemy ciekawy artykuł, którego autorem jest Marc Alyn. Są to rozważania na temat poezji i poetów we Francji.

Na sto zbiorków poetyckich publikowanych przez poważne wydawnictwa, ukazują się tysiące egzemplarzy, o których wartości zadecydowali sami autorzy. Odnosi się wrażenie — stwierdza Marc Alyn — że zbiorki tych wierszy publikowane są jedynie po to, aby ich twórcy mogli się nimi sami delektować. Choć liczby mogą być tu jedynie orientacyjne i przybliżone przypuszcza się, że we Francji istnieje 50 tysięcy ludzi, którzy piszą i wydają arkusze poezji, nie licząc młodzieży, która pisuje lub nawet drukuje wiersze w jakimś krótszym lub dłuższym okresie swego życia, po czym od poezji odchodzi. W swojej książce pt. „Poezja we Francji" Jean-Paul Gouréwitch przypomina konkurs poetycki, zorganizowany w roku 1965 przez Dom Kultury w Saint-Maur. W konkursie tym wzięło udział 5.500 poetów. Autor książki stwierdza nie bez sarkazmu, że łatwiej jest o 5.500 poetów niż 500 czytelników tejże poezji. Zachodzi przy tym ciekawe, a równocześnie dość niepokojące zjawisko. Otóż te masy poetów nie czytają żadnej poezji poza swymi utworami. Piszący wiersze, czasami nawet ci, którzy mają zadatki talentu i powinni się uczyć i poetycko dokształcać, nie czytują nawet tej niewielkiej przecież stosunkowo ilości zbiorków poetyckich, jakie wydawane są przez poważne wydawnictwa. Jest to zdumiewający brak zainteresowania ludzi, którzy równocześnie poświęcają wiele wysiłku, czasu, a nawet pieniędzy dla pisania i drukowania poematów, których nikt nie będzie czytał. I jeszcze jedna sprawa. Gdyby owe masy nieznanych poetów czytywały i kupowały przynajmniej po pięć czy sześć zbiorków wierszy rocznie, to wydawanie utworów poetyckich stałoby się dla poważnych domów wydawniczych opłacalne, a nie jak dotąd deficytowe, i sami owi nieznani poeci mieliby większe szanse wydawania swych poezji w większych instytucjach edytorskich. Niestety, tysiące nieznanych nikomu poetów potrafi pisywać całe życie nie posiadając żadnej kultury poetyckiej poza mglistymi wspomnieniami lektur szkolnych. Krążą pogłoski, że Jean Paulhan lub Aragon zastanawiają się nad opracowaniem antologii wierszy odrzuconych przez wielkie wydawnictwa. Być może w tej antologii znalazłoby się trochę wierszy wartościowych lub takich, które przynajmniej sygnalizują talent ich autorów.

W STULECIE URODZIN GORKIEGO

■ W stulecie urodzin Gorkiego literacka prasa radziecka zamieszcza bardzo dużo interesujących materiałów związanych z życiem i twórczością tego wielkiego pisarza radzieckiego.

O popularności i znaczeniu pisarstwa Gorkiego w świecie świadczy np. fakt, że ostatnio odbyło się w Delhi sympozjum poświęcone zagadnieniu: „Gorki i indyjska literatura". O twórczej drodze pisarza mówił m. in. przewodniczący Narodowej Akademii Sztuk, Mulk Radż

A. M. Gorki
Linoryt I. Kozłowa

Anand, podkreślając wielki wpływ M. Gorkiego na pisarzy Azji.

BIAŁE RÓŻE

„Dziś jest niedziela
moja śliczna mamusiu
oto są białe róże
które tak kochałaś".

30 listopada 1967 roku trzyosobowy zespół włosko-belgijskich śpiewaków wykonywał piosenkę o „Białych różach" przed mikrofonem francuskiego radia. Za tym zespołem o nazwie „Sun lights" stał 65-letni mężczyzna o szpakowatych włosach i płakał. Ten człowiek, to Leon Raiter, który w latach międzywojennych skomponował wraz z Charles-Louis Pothier mnóstwo piosenek, wśród nich „Białe róże", wzruszającą, sentymentalną historyjkę o chłopcu-sierocie, który kradł kwiaty, aby złożyć je na grobie matki. Piosenka ta niegdyś

Zespół Sunlights

zrobiła prawdziwą karierę. Pewnego październikowego wieczoru 1930 roku w małym studio, będącego jeszcze wtedy w powijakach, francuskiego radia zapowiedziano, że na końcu ubożuchnego w owych latach programu radiowego Leon Raiter zaprezentuje audycję wokalno-muzyczną. Jego piosenkę „Białe róże" zaśpiewa Berthe Sylva. Nigdy jeszcze do tej pory we Francji nikt nie śpiewał przed mikrofonem. Berthe Sylva śpiewała przez dwie i pół minuty. Ale nikt z pracowników radia nie przypuszczał nawet, że te minuty staną się tak niezwykłym wydarzeniem dla niej samej i dla kompozytorów piosenki. Już następnego dnia śpiewaczka otrzymała tysiące depesz i odebrała mnóstwo telefonów od rozentuzjazmowanych jej radiowym występem słuchaczy. Mało znana piosenkarka stała się nagle prawdziwą gwiazdą audycji radiowych. W trzy tygodnie po jej występie przed mikrofonem, pojawiają się płyty z jej piosenkami. Przez dziesięć lat Sylva (właściwe nazwisko: Berthe-Francine-Ernestine Faquet) śpiewa przy akompaniamencie Leona Raitera na estradach Francji i Belgii. Są to przeważnie sentymentalne piosenki, z których najwięk-

Berthe Sylva

szą popularnością cieszą się „Białe róże".

W roku 1939 Berthe Sylva jest już kobietą około pięćdziesiątki. Wtedy piosenki jej przestają być modne. Śpiewaczka, która nigdy nie była zbyt zamożna, popada teraz w biedę. Na jej pogrzebie w dniu 24 maja 1941 roku kondukt pogrzebowy liczy zaledwie czterech ludzi. Na parę dni przed śmiercią, gdy wspomniał ktoś o ewentualnym testamencie, śpiewaczka odpowiedziała, że nie sporządza testamentu, gdyż nie ma nic do zapisania.

Myliła się jednak. Obecnie, od lat dziesięciu firma Odeon C.B.S. sprzedała około dwóch milionów płyt z jej nagraniami. Spadkobiercy artystki otrzymali więcej pieniędzy niż zarobiła ona kiedykolwiek sama. A „Białe róże" robią ostatnio znowu karierę. W ciągu dwóch miesięcy sprzedano 250 tysięcy płyt z nagraniem piosenki w wykonaniu włosko-belgijskiego zespołu śpiewaczego „Sunlights".

Bez strachu

MIĘDZY NOCĄ I DNIEM

Między nocą i dniem, między snem, a jawą są szczeliny, w których resztki majaków nocnych mieszają się z fragmentami sufitu, ściany, łóżka z autentycznym krzesłem i białą serwetą zwisającą ze stołu. Te chwile bardzo ulotne i pozornie mało ważne, wpływają w pewien dość istotny sposób na treść i wartość naszych dni i nocy. Sam znam, i wiem od wielu miarodajnych osób, że znają przebudzenia — radości i przebudzenia — rozpacze. Atmosfera przebudzenia — pierwszy szczebel dnia. Jeżeli czyjaś szczelina między nocą, a dniem wypełniona jest rozpaczą — nie powinien pozwolić jej odejść w bezmiary snu — ponieważ to czego doświadczał u progu dnia nie było już snem — było zwiastunem jawy — należy to zatrzymać w świadomości, przeanalizować — zbadać składniki tak wczesnej rozpaczy. Może to daje znać o sobie nadchodząca choroba, nierozpoznana jeszcze w czasie pełnego dnia, może pamięć pewnej ważnej nie załatwionej sprawy woła do nas w tej chwili... Zastanawiające jak bardzo pewni jesteśmy dnia, poświęcamy też nieco uwagi nocy, natomiast zupełnie lekceważymy zaśnięcie i przebudzenie. Tymczasem właśnie zasypiając i budząc się jesteśmy w sposób najbardziej naturalny, autentyczni. Do przeżywania dnia jesteśmy przysposobieni przez rodziców, przez szkołę — nasz dzień obfituje w tysiące manierycznych postaw, szablonów — nasz dzień nie jest w dostatecznym stopniu własny, to konstrukcja wielu wzorcowych postaw — konsekwencja wpajanej nam kultury. Zazdrościmy jak Otello, walczymy jak Leonidas, obmyślamy fortele jak Zagłoba — co zostaje z dnia dla nas — prawdziwych. Do przeżywania nocy jesteśmy także przysposobieni. Rodzice, dziadkowie — od najwcześniejszego dzieciństwa opowiadają nam o snach, starają się określić ich naturę, cel, skutki. Dowiadujemy się to i owo o snach w szkole, wpada nam w ręce pewnego dnia, jakieś dzieło rozprawiające w sposób uczony o nocy. Poznajemy symbolikę snów, dramatyzację bodźców zewnętrznych przez wyobraźnię senną, przemianę i przeistoczenie poczucia czasu — zachodzące w czasie snu. Tak więc śnimy tak jakbyśmy czytali dobrze znaną książkę, śnimy niejako z przewodnikiem w ręku i dobrze znamy podszewkę naszych snów. O zasypianiu i przebudzeniu nikt nas nie informuje. Zdani jesteśmy wyłącznie na siebie w tych bogatych, ciekawych i uważnych akcjach. Istnieje kultura dnia, istnieje kultura nocy — stwierdzam zupełny brak kultury zasypiań i przebudzeń. Brak nawet precyzyjnego słownictwa w tak ważnych kwestiach — brak jednego słowa, które mogłoby określić te tak pokręcone stany: zasypianie i przebudzenie. Zapewne istnieją uczeni, którzy badali te sprawy, nic jednak nie uczynili, aby upowszechnić swoją wiedzę o zasypianiu i przebudzeniu. Księgarnie i biblioteki pełne są książek o dniach i o nocach — nie znalazłem w nich książek popularyzujących sprawy zasypiania i przebudzenia, nie znalazłem dokumentów kultury tych stanów, nie znalazłem wskazówek w tych kwestiach. Wiem, że u nas w piękny i głęboki sposób badał te sprawy Edward Abramowski, ale to przecież było w odległej epoce... Być może kultura i pragmatyka zasypiań i przebudzeń nie zostanie nigdy wypracowana — może te stany to właśnie nasz azyl od kultury i pragmatyki dni i nocy — zostaniemy w nich zawsze najbardziej autentyczni — prości i bogaci wyobraźnią, dziecinni i prostaccy, uzwierzęceni i zarazem uduchowieni. Kto chce niech myśli o własnym przebudzeniu i zasypianiu — dostrzeże po pewnym czasie jak bogata i ciekawa to strefa, co do mnie to kończę już felieton i kładę się do łóżka — oczekuje mnie bogaty w swej grozie i pięknie, błogosławiony stan zasypiania.

BERNARD SZTAJNERT

Panie Redaktorze

Jeszcze nigdy nie pisałam do Pana listu, a przecież wiele osób, w tym również moi znajomi koledzy, pisali i Pan ich listy drukował. Więc proszę i mnie uwzględnić. Po pierwsze dlatego, że mogłabym wpaść w kompleks z powodu braku takiej korespondencji, a po wtóre dlatego, że mam pisać o rzeczach na których się nie znam, więc myślę, że osobiste wynurzenia skierowane bezpośrednio do Pana, potraktuje Pan bardziej wyrozumiale.

Chodzi mi o okręgową wystawę prac plastyków łódzkich. Na wstępie muszę Panu donieść, że nie korzystałam z katalogu, który zazwyczaj bardzo ułatwia pracę piszącemu, ponieważ katalogu jeszcze nie ma, a ukaże się po zamknięciu wystawy. Ale żeby Panu wyjaśnić ten na pozór tylko nielogiczny fakt, muszę nieco odejść od tematu. Ekspozycja ubiegłorocznego dorobku łódzkich plastyków mieści się tym razem w dwóch lokalach. Wynika to z szeroko już znanego faktu, że Galeria Sztuki w parku im. Sienkiewicza wcale się nie powiększa; choć plastyków stale przybywa. Więc malarstwo i grafika mieszczą się w parku im. Sienkiewicza, a rzeźba i tkanina unikatowa — w Salonie Sztuki przy ul. Piotrkowskiej 88. Łącznie w wystawie tej uczestniczy około (ach, ten brak katalogu!) 80 autorów ze 174 pracami. Ale spośród 480 plastyków łódzkich połowa (a będzie ich coraz więcej) zajmuje się zawodowo sztuką użytkową: wzornictwem przemysłowym, projektowaniem wnętrz itd. Więc bardzo słusznie po raz pierwszy w tym roku, włączono do wystawy okręgowej ich prace. I równie słusznie są w tym dziale przyznane medale tak samo, jak w dziale sztuki czystej. I w zasadzie, tak mi się wydaje, obie te ekspozycje powinny być pokazane razem; ale na to już zabrakło miejsca. Więc dopiero po zdjęciu malarstwa i grafiki, w Galerii znajdzie się druga część wystawy: architektura wnętrz, wzornictwo, grafika użytkowa. W ten sposób doszłam zręcznie do sprawy katalogu. Albowiem katalog zaprojektowano dla całości łącznie, więc będzie go można wydać dopiero gdy druga część wejdzie do Galerii. Wcześniejsze wydanie katalogu wymagałoby zmagazynowania wszystkich eksponatów, a właśnie na to nie ma miejsca, bo magazynów brak. Część tę jednak chciałabym zakończyć akcentem optymistycznym; bo jest wiosna; a na wiosnę w serca ludzi wstępuje nadzieja i ona to właśnie ożywia plastyków.

Sprawy lokalowe na szczęście nie mają bezpośredniego wpływu na twórczość łódzkiego środowiska, co wnioskować można właśnie z wystawy. Oglądamy tu prace (110 obrazów, 34 grafiki, 13 rzeźb i płaskorzeźb, 17 gobelinów i tkanin malowanych) twórców o nazwiskach bardzo znanych i prawie wcale, przynajmniej ogółowi, nieznanych (kilku młodych artystów wystawia, na wystawie okręgowej, po raz pierwszy) i właśnie jednemu z najmłodszych — J. Trelińskiemu przypadł jeden z medali. I to mi się w tej wystawie podoba; bo to świadczy o prężności i ciągłym rozwoju środowiska. Podoba mi się również, choć może to wynika z mojej ignorancji, że stosunkowo skromnie jest reprezentowany kierunek spod znaku: nic się w domu nie powinno zmarnować (mam na myśli stare firanki, kalosze, śrubki, opakowania po lekach itd.).

Gdybym była teoretykiem sztuki, to pewno bym powiedziała, że na wystawie pokazano szeroki wachlarz kierunków od typowo tradycyjnego, fotograficznego niemal realizmu, reprezentowanego przez starsze pokolenie, po malarstwo nieprzedstawiające w jego najnowszych wydaniach, ku któremu skłania się ponoć połowa młodych. Ale ja mam, zapewne z braku podstaw naukowych, poważne kłopoty z tym wszystkim co jest pomiędzy tymi kierunkami. Czy to jeszcze realizm, czy już nie, czy to jeszcze malarstwo przedstawiające, czy już coś innego — dręczą mnie wątpliwości i muszę przyznać ze wstydem, że znawcy w małym stopniu rozpraszają moje wątpliwości. Wobec tego jestem przeciwniczką szufladkowania i zaliczania, a że nikt tego ode mnie nie wymaga, bo nikt się z moim zdaniem nie liczy, więc spokojnie tkwię przy swoim.

Wystawa łódzka nie nosi żadnych cech, które by ją znamionowały jakimiś regionalizmami, charakterystycznymi dla życia tego miasta; poza kilkoma może pejzażami (bardzo pięknymi Kedzi czy Hochlingera). Wydaje mi się jednak, że na malarstwie niektórych twórców, szczególnie chyba młodszego pokolenia odbija się fakt, iż profesjonalnie uprawiają sztukę użytkową. Nie chciałabym, aby zrozumiał Pan to stwierdzenie w sposób pomniejszający walory ich malarstwa, wprost przeciwnie, wiele tych pozycji (właśnie z grupy nieprzedstawiających) widzę jako elementy dekoracyjne, znakomicie komponujące się z nowoczesnymi wnętrzami mieszkalnymi, głównie dzięki walorom kolorystycznym.

Chciałabym napisać Panu na koniec co mi się na tej wystawie najbardziej podobało, choć może Pan będzie innego zdania. Najbardziej podobały mi się: „Pejzaż" i „Epos Pracy" K. K. Kędzi, bardzo interesujące kolorystycznie, i „Largo" St. Pawłowskiego, które jakoś skojarzyło mi się z muzyką Pendereckiego, podobał mi się „Brzeg" E. Leszczyńskiej-Jeske i pogodny, wesoły prawie „Pejzaż" B. Hochlingera (przy okazji na marginesie — nie podoba mi się zestawianie obok siebie dwóch prac tego samego autora, o podobnej fakturze, technice malarskiej i kolorze, to osłabia wrażenie, jakie mógłby zrobić każdy z tych obrazów osobno). Podobają mi się „Tegoś — nie błaznuj!" i „Zmiana wystawy" — żarty J. Krawczyka, który po czterech latach nieobecności na łódzkich wystawach okręgowych znów tu powrócił. Przesyłam Panu zdjęcie „Teosia", żeby się Pan też pośmiał.

W dziale grafiki bardzo mi się podobały autocynkografie H. Płóciennika, który w cyklu „Miodowy miesiąc" pokazał piękny, bajeczny pejzaż, jakby wyjęty z sennych marzeń. A także akwaforty A. Nawrota i kolorowy tusz L. Golca, i litografie Kondka, ale o nich już było. A w salonie przy Piotrkowskiej „Perłowa kompozycja" M. Szadkowskiego i „Perkun" Liszewskiego i piękne tkaniny unikatowe z „Płonąca fregata" Z. Bitak.

Podobało mi się zresztą jeszcze wiele innych prac, ale trudno wymienić wszystkie, więc napisałam tylko o tych, które w pierwszym rzędzie kupiłabym sobie, gdybym miała pieniądze. O tych, które mi się nie podobały nie napisze, bo mogą to być akurat prace nagrodzone i wtedy okaże się, że moja ignorancja to wcale nie kokieteria, tylko najprawdziwsza prawda.

W każdym razie myślę, że powinien Pan te wystawę obejrzeć, ale co też mówię, Pan na pewno już ją widział.

Łączę pozdrowienia

TERESA WOJCIECHOWSKA

JOHN A. TETA

Zazdrość

Zewien wielki pisarz powiedział, że wiele jest rzeczy między niebem a ziemią, których biedny człowiek nigdy nie zrozumie. A ja jestem z natury bardzo dociekliwy i dlatego postanowiłem oddać się pewnym naukom, aby poznać tajniki funkcjonowania świata. A wiele jest dróg, które prowadzą do poznania tych tajemnic. Niektórzy w tym celu studiują metafizykę, ale ja obrałem inny sposób, moim zdaniem dużo łatwiejszy. Wstąpiłem do sekty pod wezwaniem „Wyznawcy Diabła". Dwa razy w tygodniu spotykaliśmy się, aby połączyć się z Szatanem. Gdybym wiedział, jakim to grozi niebezpieczeństwem, wybrałbym raczej sektę „Świętych". Nie wiem, jak to się skończy. Mój lekarz wciąż mnie pociesza, że już niedługo mnie z tego wyzwoli.

A na razie opowiem jak to wszystko się zaczęło.

Pewnego wieczoru moja żona wróciła z wystawy dzieł sztuki na Washington Square i oświadczyła mi, że właśnie wydała 100.000 dolarów na obraz. Wiem, że w ten sposób chciała wywołać wstrząs, który spowodowałby u mnie powrót do równowagi psychicznej. Ale jeżeli jej właśnie o to chodziło, to muszę przyznać, że niewiele brakowało do osiągnięcia zamierzonego przez nią rezultatu. Obraz był wielki, prawie rozmiarów drzwi, ale jeżeli chodzi o jego wartość artystyczną, to był to obraz niezwykły — po prostu niesamowity!

Doris kazała powiesić go na ścianie przy kominku. Zwróciła w moją stronę swą piękną twarz i spytała:

— No, jak ci się podoba?

Teraz, po dziesięciu latach małżeństwa wydaje mi się, że znam dobrze Doris. Gdybym wyraził się o tym dziele pochlebnie — ona na pewno kazałaby go wyrzucić. A ponieważ obraz naprawdę przypadł mi do gustu, dlatego powiedziałem:

— Cuchnie.

Doris zareagowała tak jak przypuszczałem:

— No wiesz, jesteś zwykłym ignorantem. Czy ty w ogóle masz jakieś pojęcie o sztuce? Obraz zostanie tu gdzie go powiesiłam, a jeżeli tobie się nie podoba — możesz na niego nie patrzeć.

I tak oto obraz pozostał w naszym domu.

* * *

Nie byłem taki głupi za jakiego Doris mnie uważała. Każdego wieczoru, wyperfumowana i wystrojona, wmawiała mi, że idzie z „przyjaciółką" do kina, albo na rewię. Ale pewnego wieczoru nie wytrzymałem i poszedłem za nią do hotelu, w którym mieszkał trzeciorzędny aktorzyna Jerry Barnes. Stojąc za drzwiami słyszałem jak śmieją się nazywając mnie rogaczem. Miałem nawet ochotę otworzyć drzwi i oświadczyć Doris, że od tej chwili pozostanie na utrzymaniu skromnie zarabiającego aktora, ale rozmyśliłem się. Wróciłem do domu, i tam powziąłem postanowienie, że zabiję oboje. Wymyśliłem wiele sposobów, ale żaden nie odpowiadał mi ponieważ każdy był zbyt niebezpieczny. Każdego wieczoru, od sześciu miesięcy, podczas gdy Doris spędzała czas ze swym kochankiem, ja zasiadałem naprzeciwko obrazu obmyślając plan zemsty. Muszę przyznać, że po jakimś czasie zaczęło mi to sprawiać przyjemność. Ale w pewnej chwili zorientowałem się, że obraz zaczyna mnie pochłaniać, zaczyna absorbować całkowicie moją uwagę. Na pierwszy rzut oka obraz nie przedstawiał sobą nic szczególnego: był to fragment pokoju bez mebli; ściany były jasnoczerwone, a podłogę pokrywał szkarłatny dywan. Na tej namalowanej ścianie były otwarte drzwi, a przez nie był widoczny pokój identyczny jak pierwszy, a pokoje te z otwartymi drzwiami ciągnęły się w nieskończoność, a któryś tam z kolei pokój był zaledwie wielkości główki od szpilki!

Każdego wieczoru siedziałem przed tym obrazem rozmyślając o Doris i o Jerrym, ale wszystkie moje plany stawały się coraz mniej ważne i pozostawała tylko ciekawość: dokąd prowadzą te pokoje i ile ich jest? Czy to naprawdę nieskończoność. Postanowiłem to sprawdzić. Oglądając z bliska płótno z przerażeniem odkryłem podpis artysty ukryty w kącika szkarłatnego dywanu: SZATAN.

Poprzez sektę „Wyznawców Diabła" wszczęłem starania aby skontaktować się z Szatanem. I oto zupełnie niespodziewanie zjawił się przede mną i rzekł:

— Czekałem na ciebie. Nazywasz się Martin. Twoja żona Doris nabyła jeden z moich obrazów. Chciałbyś poznać tajemnicę tego obrazu, który nazwałem „Zachętą diabła".

— Czy potrafisz czytać myśli?

Uśmiechnął się.

— Naturalnie. Wiedziałem, że ty albo twoja żona zwrócicie się do mnie. Bowiem wszyscy poprzedni właściciele tego obrazu to uczynili.

— A tajemnica?

— Możesz ją sam odkryć, jeżeli zgodzisz się podpisać upoważnienie, na mocy którego po pewnym czasie obraz ten znowu wróci do mnie.

— Zgoda. A jak poznać tajemnicę obrazu?

— Musisz wejść do pokoju namalowanego na obrazie.

— Ale jak?!

— Trzeba abyś ptaka swojej duszy wyzwolił z więzienia ciała. I wtedy znajdziesz się w obrazie. Usiądź naprzeciw niego, zamknij oczy i rozluźnij mięśnie. Skoncentruj się na najdalszym pokoju i powtarzaj „jestem wolny, wolny". A potem otwórz oczy i wówczas przekonasz się, że stoisz w tamtym pokoju.

Spróbowałem. Przecież niczym nie ryzykowałem. I rzeczywiście. Po pewnym czasie znalazłem się w obrazie. Nie miałem ani rąk ani nóg, byłem niewidzialny nawet dla samego siebie. Spojrzałem w dół i zobaczyłem swoje ciało leżące bezwładnie naprzeciwko kominka. Lekko, jak nigdy przedtem, przesunąłem się do następnego pokoju. Był większy niż mi się z daleka wydawało, a w dodatku wypełniony był moimi ulubionymi książkami, potrawami, drogimi cygarami; piękne kobiety tylko czekały na jakiś znak z mojej strony.

Przesunąłem się szybko do następnych pokoi. Wszędzie było to samo. Czyżby tak miała wyglądać nieśmiertelność?

W tym momencie powziąłem postanowienie dotyczące ukarania Doris i Jerry'ego: zabiję ich, a sam umknę przed sprawiedliwością na dno obrazu!

I w tym momencie, gdy znalazłem się w pierwszym pokoju — zauważyłem Doris, która stała obok mojego ciała i potrząsała je za ramię. Myślała, że śpię.

* * *

Wiedziałem, że Doris jest u niego w pokoju. Zapukałem do drzwi.

— Kto tam? — spytał męski głos.

— Telegram do pana — skłamałem.

Gdy tylko zwolnił drzwi z klucza — pchnąłem je i z rewolwerem w ręku wtargnąłem do pokoju. Od kilku wystrzałów głowa Jerry'ego rozleciała się w kawałki. Nadbiegła właścicielka hotelu i poczęła histerycznie krzyczeć. Doris prawie szalała z przerażenia, nie wiadomo po co zaczęła przykrywać trupa prześcieradłem. Przyłożyłem lufę rewolweru do jej czoła. Powietrze drgnęło wskutek eksplozji: Doris upadła na ciało swego kochanka.

Rzuciłem rewolwer na podłogę. Nie miałem się czego bać. Odciski palców? Świadkowie? Ja miałem dokąd uciec!

Usłyszałem głosy biegnących ludzi.

— Niech pani dzwoni na policję — powiedziałem do zupełnie otępiałej gospodyni i wcisnąłem jej do ręki słuchawkę, a sam zapasowym wejściem zbiegłem na dół.

* * *

I oto jestem w obrazie. Widzę jak po pokoju koło mojego ciała krzątają się policjanci i lekarze z medycyny sądowej.

— On nie żyje — mówi jeden z nich.

— Ale dlaczego on umarł? — pyta detektyw.

— Atak serca — odpowiada ekspert. Ale na razie to nie jest jeszcze pewność stuprocentowa.

Widzę, jak dwaj na biało ubrani mężczyźni wynoszą moje ciało i wywożą do szpitala. Żeby tylko nie zrobili sekcji zwłok.

Właśnie przed chwilą rozmawiałem o tym z lekarzem-ekspertem. Uspokoił mnie, że wszystko dobrze się skończy.

Oby tak było. Ale ja mimo wszystko nie bardzo mu dowierzam: boję się, by ktoś nie uszkodził mojego ciała.

TŁUMACZYŁ:

ROMAN GORZELSKI

AKTY FRANTIŠKA JANIŠE

Lewym okiem

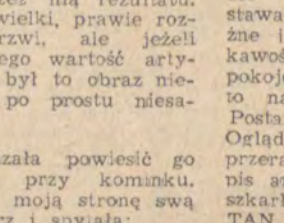

ŻEGNAJMY DACHY

Mój serdeczny i najbliższy przyjaciel warszawskich lat dziecinnych, syn — jak się wtedy mówiło — sąsiadów z góry, mieszkał w dziwacznej, wielokątnej, dwuizbowej facjatce, z której jedno okienko, umieszczone w suficie, prowadziło prosto w niebo, a drugie — na szeroki krajobraz dachów Powiśla. Wychodziłem przez to pierwsze okno na dach — a dom był wysoki, pięciopiętrowy — siadywałem zimą w tym drugim oknie, i od tamtej pory labirynt miejskich dachów stanowi dla mnie krainę równie pociągającą, jak Nyassa z żyrafą ze znaczka pocztowego.

Dachy wielkiego miasta — to absolutnie odrębny, egzotyczny świat; znany tylko malutkiej garstce wtajemniczonych. Fantastyczna mozaika kształtów, poziomów, stylów, jakieś schodki, tarasy, przejścia, tu i ówdzie nagle kilka pelargonii i krzesełko nad przepaścią, gdzie indziej stadko gołębi pod kloszem z drucianej siatki, i znów pionowy mur obrośnięty bluszczem, gęstym od wrzeszczących wróbli, albo wielka płaszczyzna, porośnięta — jak meksykański step — grubymi kaktusami kominów, trzcinami anten, kręcącymi się na wietrze blaszanymi „chłopakami" do robienia „cugu". Filmowcy odkryli tę egzotykę już dawno. We francuskich filmach do kochanki idzie się przez dachy i gzymsy, urokliwą ścieżką nie wydeptaną przez nikogo; włoscy młodzieńcy mogą nigdy nie schodzić na ziemię — mają na dachach wszystko: i ogródki, i plaże, i dyskretne altanki, i ringi dla junackich porachunków. Amerykańscy gangsterzy dopiero na dachach czują się w swoim żywiole: to jest las ich partyzanckiego buntu, to jest dżungla, gdzie jeszcze można buszować jak dzikus, drapieżnie, bez pardonu.

Proszę sobie przypomnieć malarzy urbanistów. Uliczki, zaułki, scenki uliczne — owszem. Ale dominantę większości tych miejskich krajobrazów stanowią przecież dachy, poezja dachów — one są konturem miasta. Dachy są też ostatnim wybiegiem i azylem wielkomiejskiej fauny — to tam kotom przypomina się ich zamierzchła prehistoria Wolnego Zwierzaka, to tam zakurzone miejskie wrony i gołębie przesiadują na odpoczynek skołatanym nerwom i omdlałym skrzydłom, tam wróble dzielą między siebie żerowiska poszczególnych dzielnic, ulic i podwórek.

Jest w „Życiu Warszawy" piękna rubryka, poświęcona ginącym urokom, czy choćby tylko reliktom, zabytkom, przeżytkom, starciom dawnej stolicy: „Warszawskie pożegnania". Wielkie brawo tym, co tę rubrykę wymyślili i pięknie ją prowadzą. Szkoda, że Łódź nie ma szczęścia do tego typu koneserów i miłośników miasta i jego tradycji. Inaczej się żyje w mieście z tradycją. A przecież już niedługo trzeba będzie żegnać poezję dachów. Niekoniecznie z wielkim żalem, nie o to chodzi. W zmieniającym się świecie zmienia się wszystko, i dobrze, że tak jest. Nowe dzielnice luźno stojących sześcianów nie mają tego górnego piętra, tej niedostępnej płaszczyzny, czwartego wymiaru miasta; mają wiele innych aspektów, które kiedyś obrosną przywiązaniem ludzkim, wejdą w życie pokoleń, jak żelazna obręcz w pień dębu. Zostanie jeszcze — jak białowieski rezerwat — śródmieście Krakowa, oglądane z Mariackiej Wieży. Zobaczcie to, koniecznie. To jest właśnie ta poezja, którą odkryli — w innych krajach — filmowcy.

Żegnajmy wielkomiejskie dachy jak krainę złą czy dobrą, do której nie wrócimy. Nie wrócimy do niej, ale ona wróci do nas przypomnieniem, a potem — przez wiele stuleci — dziełem sztuki.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Maria Kornatowska, Andrzej Makowiecki, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1037. IV. 1968. P-13.